

*Lancashire*



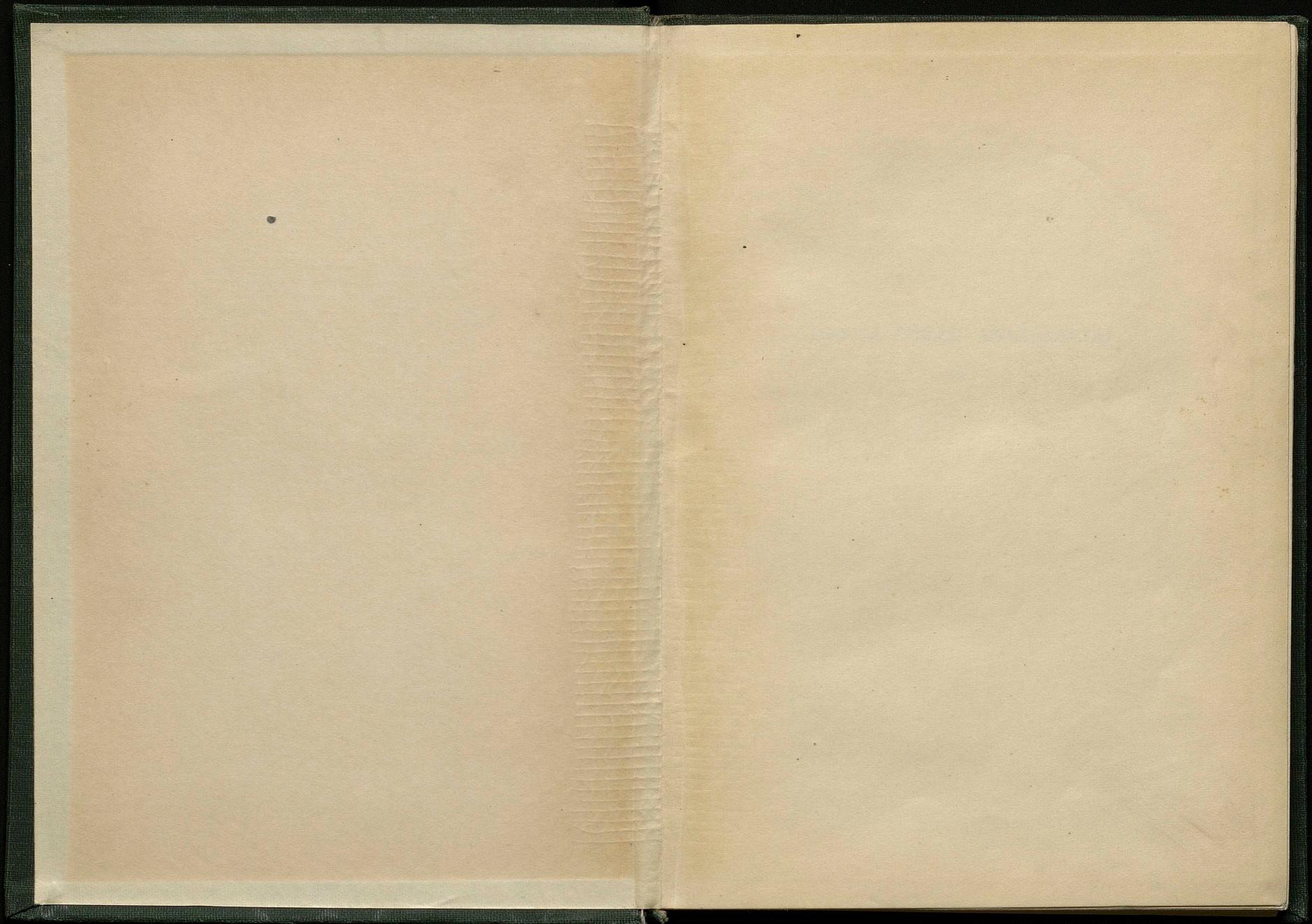
Kasprzak

Wiczy



IV-V





OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ

IV.

OBRAZ  
POEZJI ANGIELSKIEJ  
Z ORYGIN. ANG.

ZEBRAŁ, PRZEŁOŻYŁ  
I NOTATKAMI BIOGRAFICZNEMI OPATRZYŁ  
JAN KASPROWICZ

WYDAŁ Z RĘKOPISU WOJCIECH MEISELS  
KRAKÓW — 1931



# WALTER SCOTT

## KOŁYSANKA RYCERSKA.

Śpij, dziecię! Twój ojciec rycerski był pan,  
Twa matka matroną — z zacności ród znan;  
Od zamku tych wrótni, jak spojrzeć li w kraj,  
Dziedzicem ty jesteś tych lasów, tych łąk.

O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!  
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!

Nie lękaj się rogu, choć głośny to róg,  
On stróżów li wzywa twych snów, twoich dróg:  
Naciągną swe łuki, zrumienią miecz swój,  
Do twojej kolebki nie dorwie się zbój.

O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!  
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!

Śpij, dziecię, niedługo nadejdzie czas ten,  
Gdy surma i bęben już przerwa twój sen!  
Więc śpijże, mój luby, dopóki śpisz rad,  
Dzień walki cię zbudzi, gdy dojdiesz do lat.

O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!  
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!

## PIEŚŃ WOJENNA DONALDA DHU.

Donuilda Dhu gromki śpiew,  
Ten śpiew rycerny:

Zleć się na jego zew,  
Konuili wierny!

Czuj duch, ty klanie, czuj!  
Słuchaj: grzmią rogi,  
Wojenny wdziej-mi strój,  
Narodzie mnogi!

Od skalnych pędź tu ścian,  
Rzuć jar głęboki,  
Bitewny już gwiazdze tan  
Gwizd w Inwerloki.  
Chodź z sercem, weź górska szal,  
Co je okrywa;  
Niech miecza pochwyci stal  
Twa ręka żywa.

Stad licznych zostaw tłok  
Po za ochroną;  
W grób drogich nie kładź zwłok,  
Rzuć narzeczoną!  
Spiesz się, spiesz, czem ci zwierz,  
Łodzie i sieci?  
Tarcz i miecz to twa rzecz,  
Strój mężnych dzieci.

Dalej, jak wichr co bór  
Z gruntu wywala,  
Lub jak te statki na wtór  
Miażdżąca fala!  
Chodźcie już, chodźcie już,  
Chodźcie w te tany,  
Rycerz, chłop, giermek, stróż,  
Pan i poddany.

Idą już, idą już!  
Zastęp przemnogi!  
Orlich piór wszerz i wzduż  
Pełne rozłogi!  
Odrzuć szal, podnieś stal!  
Ze mną na przedzie!  
Pieśnią swą Donuil Dhu  
W bój cię powiedzie.

### MIŁOŚĆ CAŁYM RZĄDZI ŚWIATEM.

(Z poematu „Pieśń Ostatniego Minstrela“)

Była Angielka pięknolica,  
(Karlit się w słońcu lśni bogatem),  
Chciała szkockiego wziąć szlachcica,  
Bo miłość całym rządzi światem.

W oczach ich płoną złote jaśnie,  
Gdy Karlit w słońcu lśni bogatem;  
Lecz mrok ich zdjął, nim dzień zgaśnie,  
Choć miłość całym rządzi światem.

Ojciec kosztowne dał klejnoty,  
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,  
Brat kubek wina ze zgryzoty,  
Że miłość całym rządzi światem.

Widział jej sady, łąki, łany,  
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,  
Śmierć jej poprzysiągl, zagniewany,  
Iż Szkot zarządzać ma jej światem.

Ledwie się wina dotknie ona,  
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,

W kochanka cnych ramionach skona,  
Bo miłość całym rządzi światem.

On w bracie miecz zatopił srogi,  
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem:  
Tak niech miłości giną wrogi,  
By miłość wciąż rządziła światem.

Lecz z krzyżem świętym po tym czynie  
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,  
Ruszył, by zginąć w Palestynie:  
Tak miłość całym rządzi światem.

Teraz się módlcie, szczerzy, prości,  
(Karlit się w słońcu lśni bogatem)  
Za tych co ginąć chcą z miłości,  
By miłość wciąż rządziła światem.

### OJCZYZNA.

(Z poematu: „Pieśń Ostatniego Minstrela“)

Żyje gdzie czek tak martwej duszy,  
Że go Ojczyzna nie poruszy?  
Że nie zwoła: „To rodzony  
Kraj mój“? Że serce mu nie płonie,  
Gdy na rodzinnym swym zagonie  
Stanął rzuciwszy cudze strony?  
Jeśli gdzie żyje dusza taka,  
Nie dla niej będzie pieśń śpiewaka!  
Wszelkie tytuły tego czeka,  
Dumne nazwisko, bogactw rzeka,  
Ogromna władza, skarb bez granic,  
To wszystko będzie całkiem na nic,

Jeżeli tem samolub władza.  
Nędrarz, swe imię wnet postrada,  
Umrze podwójnie, prochem będąc,  
Z którego powstał na obrzędzie  
Nikt mu pogrzebnym nie zanuci,  
Żaden się k'niemu żał nie zwróci.

O Kaledonjo, groźna, dzika,  
Ty matko piewcy-pacholika,  
Ty kraju rzek i gór i wrzosów,  
Kraju mych ojców!... Od tych losów  
Któz mnie oderwie? Czyjeż ręce  
Stargają węzły te dziecięce,  
Co tak mnie łączą z twemi brzegi.  
Dziś, gdy rozważam spraw szeregi  
Dobrze mi znanych, kiedy o tem  
Myśle, co było, a z powrotem  
Już mnie nie spotka, mymi druhy  
Są li twe rzeki, bór twój głuchy:  
Najbardziej je też kocham, zda się,  
W złą największego gorzkim czasie....  
Niech nad Yarrovu rzeką chodzę,  
Choć opuściły mnie tu wodze;  
Niech mnie Ettriku wiew ogarnie,  
Choć lica moje zwiędły marnie;  
Niech u Tewiotu spocznę Ściany!  
Choć bard tu jestem zapomniany,  
Tutaj chcę wydać dech znękany.

### ROZABELLA.

(Z poematu „Pieśń Ostatniego Minstrela“)  
O, posłuchajcie, piękne damy!  
Nie o rycerskich czynach dzieli

Z wami się pieśń ma; śpiewać mamy  
O smutnym losie Rozabelli.

„Do cum, do cum, żeglarze mili!  
Ty, Pani ma, nie zwlekaj dłużej!  
W „Kruczem się Gnieździe“ schron tej chwili  
I nie chciej dziś już kusić burzy.

„Grzebienie fal już całe w bieli,  
Mewy na skały mkną z rozpaczą,  
Rybacy Ducha Wód słyszeli,  
A to rozbicie statków znaczy.

„Wróż nasz ostatnią widział nocą  
Zmoczone żgło na pięknej pani,  
Poco dziś walczyć z fal złą mocą,  
Więc do bezpiecznej idź przystani!“

„Nie, że lord Lindsay o tej porze  
Urządza bale sam w Roslinie,  
Jeno, że matka ma nieboże  
Ze samotności w zamku ginie.

„Nie, że gonitywy jest godzina,  
A Lindsay jeździ, jak nie wielu,  
Jeno, że ojciec nie tknie wina,  
Gdy mu nie poda Rozabella“.

Ponad Roslinem noc się pali:  
Światłość, nad zamkiem gorejąca,  
Szersza od watry w górskiej hali,  
Stokroć czerwieńska od miesiąca.

Żar nad Roslinem ponad żary  
Zrumienił w okrąg leśnie zręby:  
Hawthorndzkie widzą go pieczary,  
Drydenskiej puszczy widzą dęby.

Kościół zamkowy cały w lunie,  
Roslińskich grób to jest rycerzy:  
Każdy z baronów miast w całunie,  
W zbroi, bez trumny, tutaj leży.

Snać wszystko pali się dokoła,  
Zakrystja, ołtarz w ogniach płonie,  
Kolumny liściaste płoną czoła,  
Umarłych wojów płoną bronie!

Goreją blanki i wierzeje,  
W rozety arkad strojne mury:  
Tak się to zawsze tutaj dzieje,  
Gdy ma z Saint Clairów umrzeć który.

Dwudziestu panów na Roslinie  
Jest pogrzebionych w tym kościele,  
Morze ma tylko w swej głębinie  
Umiłowaną Rozabellę.

Gromnice, dzwony, psalmów tony  
Wszyscy z Saint Clairów zmarłych mieli;  
Jękli ponury wód i wichury  
To pogrzeb był lubej Rozabelli.

# WILLIAM WORDSWORTH

## MARZEC.

Koguty pieją,  
Rzeki się leją,  
Ptaki świergocą,  
Stawy się zloca,  
W słońcu zielonem śpią łany.  
Młody i stary  
W pracy bez miary,  
Stado się pasie,  
Ni spojrzy na się,  
W karmi się gubiąc dobranej.

Jak huf pobity,  
Znikł śnieg obfitý,  
Na nagim szczycie  
Liche ma życie!  
Oracz: „A wiśta, bulany!“  
Wierzby się cieszą,  
Rzeki się spieszają,  
Obłoki lecą,  
Nieba się świecą,  
Nie pada już deszcz wyczerpany.

## DO KUKUŁKI.

Drogi przybyszu, znam cię snać  
I cieszę się tym losem;  
Czy cię, kukulko, ptakiem zwać,  
Czy też wędrownym glosem.

Gdy dla spoczynku w trawie legł,  
Słyszałem twe kukanie,  
Z wzgórza na wzgórzu głos twój biegł,  
To płynie, to znów stanie.

Chociaż w dolinie lubisz pleść  
O kwiatach i o słońcu,  
Tajemną niesiesz dla mnie wieść,  
Ty marzycielstwa gońcu.

Pieszczochu wiosny, witaj mi!  
Nie jesteś dla mnie ptakiem,  
Tylko czemś, o czem człowiek śni,  
Glosem, tajemnym znakiem.

W moich chłopięcych, szkolnych dniach  
Jam nadслушаły ciebie,  
Krzyk twój mnie wodził gdzieś po krzach,  
Po lasach i po niebie.

Aby cię znaleźć, szedłem w bór,  
Na łąki i na łany;  
Miłości mej, mych tesknot twór,  
Przenigdy nie widziany!

I dzisiaj słucham ciebie rad,  
Rad kładę się na trawie,  
Czy złote chwile dawnych lat  
Powróca, tem się bawię.

O szczęsnego ptaku! Glob nasz, on,  
Te naszych stóp przegony,

Snać bezistotny jest to schron,  
Dla ciebie jak stworzony.

### SAMOTNA ŻNIWIARKA.

O popatrz: dziewczę to na łanie,  
Samotne wśród tej górskiej hali:  
Ze sierpem w ręku, to przystanie,  
To śpiewający idzie dalej.  
Sama tnie zboże, sama zbierze,  
Na smętny ton zawodzi szczerze,  
Głębię doliny, gdy tak śpiewa,  
Swoją melodją wskroś zalewa.

Nawet i słówik w żadnym razie  
Takiej radości nie uczyni  
Strudzonej rzeszy gdzieś w oazie,  
W arabskich piaskach, na pustyni  
Takich zawodzeń, takich treli  
Ani kukułka nie udzieli,  
Gdy ciszę w wiosny rwie godzinie  
Gdzieś na hebrydzkich mórz głębinie.

Co znaczył ton ów żałosliwy?  
Co ona śpiewa, który mi rzecze?  
Może to jakieś dawne dziwy,  
Echa bitw — znało je przedwiecze!  
A może to jest zwykła nuta,  
Ze spraw codziennych pieśń wysnuta,  
Ze zwykłych trosk i strat? Orędzie  
Bolu, co był i znowu będzie?

Lecz jaka była treść jej śpiewu,  
Snać go nie skończy nigdy ona,

Nuciła wciąż przy swojej pracy,  
Nad żniwnym sierpem nachylona.  
Słucham, snać nigdy mnie nie znuży!  
A kiedy odszedł do swych wzgórz,  
W sercu mem pieśń ta jeszcze brzmiała,  
Choć ona śpiewać już przestała.

### STANOWCZOŚĆ I NIEZAWISŁOŚĆ. (Zbieracz pijawek)

Dziś przez noc całą szalały wichury  
I deszcz się w ciężkie przemienił ulewy;  
Lecz teraz słońce zabłysło u góry,  
Ptactwo poczęło nucić między drzewy;  
Grzywacz nad swemi przemyśliwa śpiewy,  
Sójka skrzeczącej odpowiada sroce,  
Powietrze napelniają szumem rzeki moce.

Kto kocha słońce, rzuca dom; niebiosy  
Wielce raduje młody dzonek błogi;  
Trawy naokół pełne świeżej rosy;  
Po polu pędzi zajęc szybkonogi  
I mgła, rzuciwszy swoje błotne drogi  
I promienie w rannych blaskach słońca,  
Ucieka, gdzie, nie wiedzieć, bez ładu i końca.

Po trzęsawiskach chodziłem tej pory,  
Zajacam widział, jak pędził wśród niwy,  
Szum wód słyszałem i dalekie bory,  
Lub nie słyszałem, jak chłopiec szczęśliwy,  
Serce me wiosny weseliły dziwy,  
Zapominałem o wszystkiem, co boli,  
O płonych drogach ludzkich, pełnych melancholji.

Ale jak czasem zdarza się, że siła  
Naszej radości, ponadmiar wezbrana,  
Tem niżej spada, im wyżej się wzbija,  
Tak też i w duszy mojej tego rana  
Rodzi się nagle jakaś przykra zmiana:  
Nasły mnie smutki i ciężkie widziadła  
I troska mnie ponura od razu opadła.

Skowronka-m słyszał na niebieskim stropie  
I wspominając zajęca, myślałem,  
Żem jest na ziemi jak szczęśliwe chłopię  
W zadowolonym tem stworzeniu całem,  
Że nie masz z światem nic i trosk nawałem,  
A oto na mnie pod rozterki wodzą  
Dni smutne z przygnębieniem i troską przychodzą.

Jam całe życie swoje przeżył miło,  
Jak gdyby życie było samem latem,  
Jak gdyby wszystko bez trosk się rodziło,  
Samo ze siebie, w tworzeniu bogatem;  
Lecz jakże mógłby On poprzestać na tem,  
By ktoś dlań tworzył, wielce go miłował,  
A swemi zaś sprawami sam się nie zajmował.

O tej bezsennej duszy, Chattertonie,  
Myślę, o dziecku cudownem, co padło  
Przez swoją dumę, o nim, na zagonie  
Chwały z radością pchającym swe radio;  
Nas piewców, własne ubóstwa zwierciadło  
Rozpoczynamy w młodzieńczej radości,  
A w końcu szal i rozpacz przychodzą k'nam w gości.

Wtem, jakby w dowód osobliwej łaski,  
Jakiś przewodnik spływał ku mnie z góry:  
Skoro z myślami popadłem w niesnaski,  
W miejscu samotnym, gdzie był staw ponury,  
Od oczu nieba zdala, poniekotry  
Stał przedemną mąż — o dziwne losy —,  
Najstarszy z tych, co kiedy siwe mieli włosy.

Jak głaz potężny, mający swą leżę  
Na szczycie góry wysokiej, zdumienie  
I dziw dla oka, które go spostrzeże,  
Bo nie wiadomo, jak on na tej scenie  
Skalnej się zjawił i skąd, jakby tchnienie  
Miał w sobie żywe, albo jak stwór morza  
Co z fal wypełzł ku słońcu na piachu rozłożą:

Takim był mąż ten, ni żywy, ni zmarły,  
Ni też uśpiony: w swoich lat nadmiarze  
Podwójnie zgietą miał postać, snać zwarły  
Nogi się z głową, jakby z życiem w parze  
Szły w tej pielgrzymce jakieś troski wraże,  
Jakieś cierpienia, stokroć cięższe zgoła  
Niż ciężar, który człowiek udźwignąć wydała.

On sam z tą bladą twarzą, z ciała znojem  
Stał tu na długim oparty kosturze;  
A gdym z godziwym zbliżył się spokojem  
Nad brzeg bagniska, nieruchomej chmurze  
Było podobne to zjawisko: burze  
Moga przejść głośne, on ich nie usłyszy,  
Snać nic już nie zakłoci jego wewnętrznej ciszy.

W końcu się ruszył i kostur drewniany  
Zanurzył w bagnie i patrząc w tę nędzę



Stawu, na jego od laski przemiany,  
Jak gdyby czytał w nich, by w jakiej księdze.  
I ja się w dziwnej śmiałości rozpędzę  
I zwrócon k'niemu rzeknę, zuch nielada:  
„Ten ranek snać wspaniały dzień nam zapowiada.“

Grzeczną odpowiedź dał mi człek wiekowy,  
Spokojnie cedząc jedno drugie zdanie:  
I ja dalszemi zapytam się słowy:  
„Jakie zajęcie masz tu, drogi panie?  
Nie są dla ciebie te puste przystanie“.  
Zanim mi odrzekł, z żywych ócz orbity  
Wytryśnie blask zdumienia, w łagodność spowity.

Słowa spokojnie płynęły mu z łona,  
Ale jak gdyby w uroczystej składni,  
Miara ich lotna, przecież rozwaga, rozwaga,  
Jakiej używać nie umieją żadni  
Prości ludkowie, w słowach nieporadni,  
Mowa poważna mężów szkockiej ziemi,  
Co Boga i człowieka darzą służby swemi.

Prawił, że do tej przychodzi on wody  
Zbierać pijawki, jako że jest stary  
I niezamożny, jeno że przeskody.  
Ma w tem zajęciu, trudnem nie do wiary,  
Tak te błotnistę przemierza opary  
Lecz dzięki Bogu, tak mu się to plecie,  
Że jakieś utrzymanie ma stąd na tym świecie.

I stał ten człowiek ciągle przy mym boku,  
Lecz już od zdania-m nie odróżniał zdania,

Wydały mi się jak szумy potoku,  
A cała postać tak mi się wyłania  
Jak gdyby ze snu, snać nie do poznania,  
Lub jak wysłannik, co przyszedł z daleka,  
By dać mi upomnienie i siłę człowieka.

Wtem znów zabójcza wróciła mi trwoga  
I ta nadzieja wciąż nienasycona,  
Chłód, ból i ciężar i troska złowroga,  
I, że niejeden wieszcz w niewoli kona.  
Przerażon, z żądzą pociechy śród łona,  
Ponawiam swoje pytanie: „Mów czelce,  
Co robisz, jak się droga twego życia wleczę?“

A on z uśmiechem odpowie mi na to,  
Że wciąż pijawki łowi w swej podróży,  
Że jest zajęty niemi całe lato,  
Że swemi stopy grzędnie śród kałuży,  
Aby ich szukać: Dawniej połów duży  
Miałem ich zawsze, lecz od pewnej doby  
Jak mogę, tak ich szukam na różne sposoby!

Gdy on to mówił, wszystko mnie poruszył,  
Ta postać starca i te jego słowa;  
Zdawało mi się, że okiem mej duszy  
Widzę, jak milczkiem po bagnach się chowa,  
Jak go wędrówka popędza wciąż nowa,  
A gdy się myśl ma jedna z drugą sili,  
On powie znów to samo po milczenia chwili.

Przecież niebawem, gdy skończył te sprawy,  
Inne się rzeczy z tamtemi mieszały,

Lecz zawsze w sposób mily i łaskawy;  
O mało-m nie śmiał z siebie, iż zgrzybiały  
Starzec ten pełen jest mocy, tak staty  
„Niech Bóg się ku mnie“, rzeklem, „z łaską nagnie,  
Gdy myślę o zbieraczu pijawek i bagnie“.

## ROBERT SOUTHEY

### NOC.

(Z poematu „Thalaba“)

Jakże wspaniała jest noc!  
Ciche powietrze pełne świeżych ros!  
Jasności niebiosów  
Żadna nie kłoci chmurka, żadna mgła  
Majestatyczny pełny miesiąc kraje  
Ciemno-błękitną głęb.  
W promieniach jego spoczywa  
Pustkowia wielki krag,  
Jak oceanem, opasany niebem!  
Jakże wspaniałą jest noc!

### ME DNI MIJAŁY W ZMARŁYCH GRONIE.

Me dni mijaly w zmarłych gronie;  
Gdzie tylko rzucę okiem,  
Za dawnych mężów światem gonię,  
Za mędrcem i prorokiem.  
To niezawodni przyjaciele,  
Z którymi codzień czas swój dziele.

Im poświęcałem szczęścia chwile,  
Szukałem w nich otuchy,  
A żem rozumiał i czuł, ile  
Dają mi dawne duchy,

Przeto z wdzięczności nieraz zdroje  
Łez wylewały oczy moje.

Z zmarłymi była myśl ma wszędzie;  
Czas minął odtąd mnogi;  
Cnoty-m ich kochał, karcił błędę,  
Duch ich nadzieji, trwogi.  
Do nich chodziłem też w pokorze,  
Co duch mój od nich zyskać może.

Z zmarłymi wszystkie me nadzieje  
I wszystka ma ochota;  
Z nimi już pójdą me koleje  
Po koniec dni żywota,  
A moje imię, tuszę sobie,  
Nie zginie, gdy już spocznę w grobie.

## DO PSZCZOŁY.

Rychło się budzisz, skrzetna, skrzetna pszczoło!  
Gdy wcześnie wychodzę na wrzosy,  
Nim jeszczek krówka ze spoczynku wstanie  
By pójść, w oborze rzuciwszy posłanie,  
Na ląkę srebrną od rosy,  
Już widzę ciebie, skrzetna, skrzetna pszczoło!

Zbierasz do późna, skrzetna, skrzetna pszczoło!  
Kiedy kwiat wszystek już ginie,  
Kiedy pierwiosnek już się w mroku grzebie,  
Jam słyszał ciebie i jam widział ciebie;  
W cichej, wieczornej godzinie  
Słyszałem ciebie, skrzetna, skrzetna pszczoło!

Skapiec z ciebie, skrzetna, skrzetna pszczoło!

Zajęta jesteś bez granic!  
Śród nieustannej gromadzisz roboty,  
Przez całe lato, swój dobytek złoty,  
Bo zima dla ciebie jest na nic:  
Naukaś dla mnie, skrzetna, skrzetna pszczoło!

Mało się troszczysz, skrzetna, skrzetna pszczoło,  
Jak z twoim trudem wypadnie.  
Kiedy ostatni kwiat bluszcza już zwiędnie,  
Gdy się twa praca zakończy niezbędnie,  
Pan twój wszak miód ci ukradnie —  
Biada ci, biada, skrzetna skrzetna pszczoło!

## KRZEW DZIEDZIERZAWY.

Widziałeś kiedy, czytelniku prawy,  
Krzew dziedzierzawy?  
Oko, patrzące na to jego liście,  
Ma, oczywiście,  
Dowód, że tak jest sprawion krzew ten lśniasty,  
Iż może zmieszać mądrość ateisty.

Kolcami liść ten otoczony jest dołem,  
Jak ostrokołem,  
Nic mu nie zrobi stado, co w tym czasie  
Obok się pasie.  
Lecz skoro tylko podrośnięte, jest miękki,  
Gładki, bezbronny, że na nic już lęki.

Ciekawe na to lubię rzucać oko,  
Wierząc głęboko,  
Że w dziedzierzawie można widzieć godło,

Coby nas wiodło  
Do utworzenia rymu, który wszytek  
Czasom idącym wyjdzie na pożytek.

To też gdy miewam, tak obcym się zdaje,  
Szorstkie zwyczaje  
Dla tego, który wchodzi w moje ściany  
Nieokrzesany,  
To chciałbym w domu, wśród druhów zabawy,  
Być, jak bez kolców ten krzew dziędzierawy.

Choć w młodych lecach — rzecz to jest młodości —  
Surowość gości,  
Pragnąłbym z siebie codziennie i wszędzy  
Strząsać te błędy,  
Aż się przyłoży wiek mój do tej sprawy,  
Aby być gładkim, jak liść dziędzierawy.

Lecz choć się drzewa i krzewy w dni letnie  
Zielenią świetnie,  
Choć dziędzierawa mniej piękne kolory  
Miewa tej pory,  
To kiedy zimą zwiądł las i murawy,  
Cóż bardziej cieszy nad krzew dziędzierawy.

Choć swą powagę młodość ma rozumie  
W bezmyślnym tłumie,  
Choć uroczystszym bywam pośród młodzi,  
Niśni się godzi.  
To w dni późniejsze chcę być tej postawy,  
Jak świeże zimą krzewy dziędzierawy.

## SKAŁA DZWONU.

(The Inchcape Rock.)

Ciche powietrze i odmęty  
I statek cichy, jak zaklęty,  
Na żagle żaden wiew nie padnie,  
Wręga okrętu drzemie na dnie.

Bez szumu, syku walów moce  
Suną po „Dzwonu“ tej „Opocz“;  
Tak zwolna rosły, tak spadały,  
Że nie ruszyły „Dzwonu Skały“.

Na skale Opat z Abrbrothoku  
Umieścił dzwon był na widoku;  
Gdy wiatr nad morzem szalał wraży,  
Dzwon, płynął z beczką, strzegł żeglarzy.

Strzegł, ostrzegając, kiedy fala  
Nad „skałą“ strasznie się przewała,  
I ci, widzący, skąd zatrata,  
Błogosławili wciąż Opata.

Na niebie słońce lśni radośnie,  
Że wszystko życie z szczęścia rośnie,  
I ptactwo morskie, krążąc wokoło,  
Śpiewa i śpiewa przewesoło.

Jak ciemna plamka się wydała  
Beczka na wodzie, gdzie ta „Skała“,  
A na pokładzie sir Ralf kroczy  
I ku tej plamie zwraca oczy.

Czuje radosną siłę wiosny,  
Gwiźdze i śpiewa w ton radosny,  
Serce weseli się, jak można,  
Lecz ta wesołość była zdrożna.

Na „Skale Dzwonu“ okiem spocznie  
I rzecze: „Płyńmy tam niezwłocznie,  
A mając „Skałę“ na widoku,  
Zakpię z Opata z Abrbothoku“.

I ruszył statek w stronę „Skały“,  
Wiedzie go sternik poprzez wały;  
Ralf korsarz z statku się przechyli  
I dzwon odetnie tejże chwili.

Z sykiem do wody i bulkotem  
Wpadł dzwon, sir Ralf zaś rzeknie o tem:  
„Kto pierwszy spłynie tu ze świata,  
Nie spłynie z dankiem dla Opata“.

I korsarz Ralf pojechał dalej,  
Plądrując wokół na wód fali,  
I zbogacony, jak należy,  
Do szkockich zwrócił się wybrzeży.

W tem mgła zaległa tak powietrze,  
Iż żadne słońce się nie przetrze;  
Każdego dnia szalała burza,  
Dopiero wieczór się rozchmurza.

Korsarz rozgląda się z pokładu:  
Pomrok, że kraju ani śladu;

W tem Ralf odezwie się w te słowa:  
„Już tarcz widnieje księżycka“.

„Snąć wał się łamie“, jeden rzecze,  
„Bliskośmy brzegu“. „Nie wiem, człece,  
Gdzie my, lecz to ci powiem szczerze,  
Usłyszeć dzwon ów chęć mnie bierze“.

Nie słyszać dzwonu, fala rośnie;  
Choć wicher ucichł, bezlitośnie  
Wały o statek straszne moce:  
„Chryste! Przy „Dzwonu“ my „Opoce!“

I korsarz Ralf rwie sobie włosy,  
Z rozpaczliwej swe przekliną losy;  
Fala się wzmagająca i w głębinie  
Wód szalejących statek ginie.

Ale w śmiertelnej chwili trwogi  
Mógł słyszeć korsarz dźwięk złowrogi,  
Dźwięk, jakby szatan dzwonił dzwonem  
„Skały“ na morzu rozburzonem.

# S. TAYLOR COLERIDGE

## I.

### Z SONETÓW.

Krwawisz się, biedne me serce! Głęboko  
Myśląc o ranie twojej, śmieję się z wzgardą,  
Przecież twą dolę gdy rozważam twardą,  
Ciemnemi łzami nabrzmiewa me oko.

Sluchaleś szeptów Nadziei, a czemu  
Szept ten puścileś w niepamięć, gdy blade  
Ręce szalonej zazdrości gromadę  
Widm ci przywiodły, wrogich zdrowiu twemu?

Słodka to była nadzieja, choć nikła,  
I snem niejednym chwile ci spokoju  
Uprzyjemniała!... W największym ją znoju  
Winien-ś był pieścić najwięcej! Tak zwykła,  
Wysiłkiem troski matka przygnębiona  
Pieścić swe dziecię, mrące u jej łona.

## II.

Czemuś mi uszło, o słodkie spojrzenie,  
Coś moją duszę zwodziło! Jak w wnętrze  
Kwiatów miesięczne wnikają promienie,  
Znajdź w moje serce drogi jaknajprędsze,  
Szczęsny uśmiechu! Rozmyślam ze smutkiem  
O dniach minionych, leżąc, gdy dzień ginie.

Nadzieja błyśnie mi w rozlśnieniu krótkiem,  
By mnie zostawić w mrocznej ierz dolinie.

O dni nadziei, uszłyście mi lotem!  
Darmo się myśl ma, by was schwycić, traci,  
Darmo perswazja wabi was z powrotem  
Swojemi tony, o goście skrzydaci!  
Ale wy macie piękność barwnej tęczy,  
Co się na wodach wieczorami wdzięczy.

## III.

Rodzinna rzeko, Kaskado Zachodu!  
Ileż minęło lat przeróżnych! Ile  
Godzin radosnych i jak smutne chwile  
Przeszły od czasu, gdym rzucał za młodu  
Skalki o pierś twą i liczył u brodu  
Twego ich skoki! Jak to wszystko w młodą  
Wgryzło się duszę! Kazdy promień słońca  
Łączę z wikliną nadbrzeżną, z tą wodą,  
Z temi czólnami, z tym piaskiem, bez końca  
Zmiennym w kolorach!... O wizjo młodości!  
Nieraz igralaś z męskich trosk mych szkodą!  
Ach! Przecz dziecięcy wiek już nie zagości?!

### HYMN PRZED WSCHODEM SŁOŃCA W DOLINIE CHAMOUNI.

Możesz-li jakiem powstrzymać zaklęciem  
Gwiazdę poranną w jej biegu? Jak dugo  
Zda się spoczywać nad twą lysą, groźną  
Głową, królewski ty Montblanku! Arwa  
I Arweiron szaleją bez końca  
U twych podnóżys. Ale ty, postaci

Majestatyczna, z jakimże spokojem  
Ze spokojnego wyłaniaś się morza  
Tych twoich świerków! Naokoło ciebie  
I ponad tobą głęboki, masywny,  
Ponury, czarny przestwór, jak z hebanu!  
Wydaje mi się, że wbijesz się w niego,  
Jakby klin jakiś! Lecz gdy spojrzę znowu,  
Widzę, że jest to tylko gmach twój cichy,  
Twa kryształowa świątynia, przybytek,  
W którym przebywasz od czasu wieczności.  
O ty szczęśliwy, groźny Wierchu! W ciebie-m  
Patrzał, dopóki, cielesnemu oku  
Ciągle widoczny, nie zniknąłś moim  
Myślem: i w modłach pogrążon zachwytnych  
Niewidzialnego wielbiłem jedynie.

Ale jak słodka, czarowna melodja,  
Snać taka słodka, że nie wiemy wcale,  
Iż jej słuchamy, tyś się z moją myślą  
Zlewał tymczasem, o tak, z mojem życiem,  
Z mojego życia przetajną rokosa  
Aż rozszerzona ma dusza, w zachwycie  
Z tą się potężną zjednoczyła wizja,  
W tej przyrodzonej, widać, już postaci  
Rosła i rosła, by się stopić z niebem.

Zbudź się, ma duszo! Nie samą li bierność  
Uwielbień winnaś, nie li łzy nabrzmiałe,  
Milczące dzięki i nieme zachwyty!  
Zbudź się ty głosie słodkiej pieśni! Zbudź się!  
Zbudź się o serce! Zielone doliny,  
I zwały lodu niech się w hymn mój złączą.

Pierwszy, jedyny władeo tej doliny,  
Ty, który z mrokiem przez noc walczysz całą,  
Którego gwiazdy odwiedzają nocą,  
Czy to ku niebu pnąć się, czy spadając;  
Ty druhu Jutrzní w czas świtów porannych,  
Ty ziemi gwiazdową rózową i świtu  
Współgłosicielu, zbudź się, zbudź i śpiewaj!  
Któz twe przystopy ciemne wpuścił w ziemię?  
Któz licom twoim blaski dał różowe?  
Któz cię uczynił ojcem wiecznych źródlisk?

Wy pięć wesołych, acz dzikich potoków!  
Któz was wywołał z mgieł nocy i śmierci?  
Któz z grot lodowych i mrocznych przyzywał,  
Byście spadały z czarnych, stromych opok,  
Rozbryzgające się, a wciąż te same?  
Któz dał wam życie, dla ran nieprzystępne,  
Tę moc, ten rozped, szybkość, wściekłość, radość?  
Te nieustanne grzmoty, wieczne piany?  
I kto rozkazał (i stała się cisza)  
Teraz się skrzepcie, fale, i zamilczcie?

O lodozwały! Wy, co z wierchów czoła  
W tych przeogromnych zwieszacie się brylach —  
Potoki, zda się, które, usłyszałszy  
Jakiś potężny nagły głos, od razu  
W swym najszaleńczym wstrzymały się biegu!  
Umilkie rzeki, ścisłe katarakty!  
Któz was w wspaniałe zmienia barwy niebios  
W tych bystrzych blaskach pełnego księżyca?  
Któz każe słońcu odziewać was w tęcze?  
Któz z żywych kwiatów o barwach najżywszych

Wije te wieńce i do stóp wam składa?  
Bóg! Niech potoki, niby krzyk narodów,  
Odpowiadają! Echo pól lodowych  
Niechaj zawała: Bóg! Radosnym głosem  
Śpiewajcie, rzeki, po halach: Bóg! Bóg tol!  
Wy lasy świerków z ta cichą, jak gdyby  
Duchów melodją! A i wy snać macie  
Głos, kłęby śniegu, przeto niebezpieczna  
Grzmijcie lawiną: „Bóg!“ Jak piorun, grzmijcie!

Wy, żywe kwiaty, na kraju wiecznego  
Rosnące mrozu! Wy, kozice dzikie,  
Poskakujące naokół gniazd orłów!  
Wy orły, górskich towarzysze wichur!  
Wy błyskawice, groźne chmur pociski!  
O wy oznaki i dziwy żywiołów,  
Bożą te szczyty napełnijcie chwałą.

A i ty, Wierchu sędziwy, z którego  
Czubów, sterczących w niebosa, spadają  
Milczkiem lawiny i w głębię obłoków,  
Przesłonę piersi twych, leżąc, lyskliwie  
W rozblękitnionych mienia się przestworach —  
I ty, przegroźny Wierchu, gdy, przez chwilę  
W tem rozmodleniu nachyloną głowę  
Podnoszę k'tobie i z okiem, leż pełnem,  
Pnę się powoli od twych stóp ku górze,  
Że mi się zdaje, jakby uroczyście  
Jakiś się obłok podnosił przedemną —  
Wznoś się, o wznoś się, z ziemi, jak kadzidło!  
Duchu królewski, pośród gór władnący,  
Ty pośredniku groźny między ziemią,

A między niebem! Wielki hierarcho,  
Powiedz milczącym niebiosom, mów gwiazdom,  
Ziemi i temu wschodzącemu słońcu,  
Tysiącem głosów niechaj wielbią Boga.

# Y E A T S

# TOMASZ CAMPBELL

## ŚPIEW.

Ukój się, ukój serce smagane;  
Chowaj przed światem miłości ranę.  
Niech pieśń ją skryje dźwięcząca.  
Ten, co swą wolą nad wszystkimi włada,  
Przywarł drzwi strągi, gdzie gwiazdek stada,  
Gdzie widmo błędnego miesiąca.

## ŚPIEW.

(Do gwiazdy wieczornej).

Gwiazdo, sen dająca pszczołom,  
Ty, co kładziesz kres mozołom!  
Jeśli która z gwiazd, ty właśnie  
Spokój ślesz z wyżyny,  
Gdy nas niebo słodko głośnie,  
Jak oddech dziewczyny.

Zaświeć-że na pysznym skłonie,  
Kiedy z pól się wznoszą wonie,  
Kiedy stada słyszać zdala,  
Śpiewy brzmią dokoła,  
Gdy kłab dymów się przewala  
Z słonecznego sioła.

Ty, co lubych łączysz razem,  
Co swym zmuszasz ich rozkazem  
Czcić swe śluby, raz złożone  
Przed twem niebem: zbożna  
Rzecz, iż zbyt są słodkie one,  
By je zerwać można.

## SEN ŻOŁNIERZA.

Trąby spocząć kazały, spadły nocy już cienie,  
Gwiazdy strażę sprawują śród niebieskich przestworzy;

Lud tysiączny na ziemię powało zmęczenie:  
Ten się kładzie, by zasnąć, ten na śmierć się poloży.

Spoczywając tej nocy na słomianym tapczanie,  
Gdy fagotem czerń wilków od ciał zmarłych pędzono,  
Cudne miałem widziadło i nim przyszło zaranie,  
Potrzykrotnie w śnie moim pojawiło się ono.

Zdało mi się, że z pola, gdzie szalała tak srodze  
Krwawa bitwa, w dalekie gdzieś wszedłem pustkowie:  
Była jesień, blask słońca na mej zaśnili się drodze,  
W dom mnie wiodąc, gdzie moi zamieszkali ojcowie.

I poszedłem na pole, które w życia poranku  
Tyle-m razy przebiegał, kiedy-m jeszcze był młody;  
Bek kóz górskich słyszalem i śpiew, bez ustanku  
Brzmiący w polu, żniwiarzy roztęsknione zawody.

Kielich wina podnosząc, poprzysiągłem na Boga,  
Że mnie żadne już moce, by dom rzucić, nie zmuszą:  
Całunkami mnie działawa obsypuje przeddroga,  
Żona moja lka głośno, całą troszcząc się duszą:

„Zostań, zostań, wypocznij z sercem wojną rozbitem!”  
I rad żołnierz strudzony słowa tego posłucha.  
Ale troska na nowo powróciła ze światem  
I głos, we śnie słyszany, wnet uleciał mi z ucha.

## O MARYNARZE ANGLJI.

O marynarze Anglii,  
Naszego morza stróże,  
Którego flaga przez tysiąc lat  
Wojny znosiła i burze!

Chwalebny sztandar podnieście znów,  
By bić świeżego wroga!  
Chwyćcie broń, prujcie toń,  
Choć zrywa się tucza sroga,  
Choć w krąg bitewny szaleje gwar,  
Choć zrywa się tucza sroga.

Słyszycie waszych ojców  
To z wszystkich fal wezwanie?  
Potem ich sławy wszak pokład był,  
Grób mają w oceanie!  
Gdzie Blake i Nelson potężny padł,  
Tam wiedzie wasza droga!  
Chwyćcie broń, prujcie toń,  
Choć zrywa się tucza sroga,  
Choć w krąg bitewny szaleje gwar,  
Choć zrywa się tucza sroga.

Brytanji twierdz nie trzeba,  
Ni baszt u jej wybrzeży:  
Jej marsz to piąć się po czubach wód,  
Dom jej na głębiach leży.  
Grzmotami trzeszczy ojczysty dąb,  
Gdy wita ją fala mnoga,  
Gdy jej bieg prysł o brzeg,  
Gdy zrywa się tucza sroga,  
Gdy w krąg bitewny szaleje gwar,  
Gdy zrywa się tucza sroga.

Ognista flaga Anglii  
W strasznym zapłonie boju,  
Aż niebezpieczna ustąpi noc  
I zaśnij dzień pokoju.

Wtedy, rycerze, nadejdzie czas,  
Godzina ta przebłoga,  
By hymn wznieść wam na cześć,  
Gdy tucza ucichnie sroga,  
Gdy już bitewny umilknie gwar,  
Gdy tucza ucichnie sroga.

### OSTATNI CZŁOWIEK.

W pomrok zapada świat dokola  
I światłość słońca gaśnie,  
Nim by śmiertelny wehlonąć zdola  
Jej nieśmiertelne jaśnie.  
Obrazy mi się kiedyś śnily,  
Co duszę moją uskrzydliły,  
Wyniosły nad Czasu wrzątek:  
Stanął przedemną wid człowiekzy,  
Który miał widzieć kres wszechrzeczy,  
Jak Adam ich początek.

Słońce spoziera niewesolo,  
Ziemię zgnoiły ciężar wieku,  
Szkielety ludów naokoło  
Przy tym ostatnim czleku.  
Ci padli w bitwie — zardzewiały  
Oręż piszczele ich trzymały,  
Tych głód i dżuma zżarły;  
Wszelaki tyniec jak zaklęty,  
Z trupami toczą się okręty  
Na morski brzeg wymarły.

I on, jak prorok, głos podniesie,  
Bez trwogi się wynurzy,

Aż spadły zwiędłe liście w lesie,  
Jakby od gonu burzy.  
„Nas tu dwóch, słońce“ tak powiada.  
„Pochód twój słabnie, twarz twa blada,  
Iść każe ci boży goniec;  
Tysiace bowiem lat, tysiace,  
Widziałoś ludzkie łzy gorące,  
Czas już, by był ich koniec.

Cóż, że pod tobą ludzkie plemię  
Pyszniło się, tworzyło,  
Że ujarzmiało morze, ziemię,  
Że panem ognia było?  
Lecz ja nie czuję dzisiaj bólu,  
Że tracisz tron swój, dnia ty królu  
Bo jakąż to godziną  
Twe tryumfalne wszystkie blaski  
Przyniosły trochę zbawczej łaski  
Dla serc co z nędzy giną?

Idź! Na widownię biednej ziemi  
Niech spadnie już kurtyna!  
Niech ze wschodami się twojemi  
Prasędzia już nie wszczyna!  
Niech teatr skończy się ponury,  
Nie prowadź ludzi na tortury,  
Nie dręcz ich męką świeżą;  
Choroba zmięła ich straszliwie,  
Lub jak pokosy traw, na niwie  
Bitewnej ścięci leżą.

I mnie znużyły na ostatku  
Gasnące twoje żary:

Nie patrz na moją śmierć, ty świadku  
Skonów bez tchu i miary.  
Może, mogilne dla cię pienię  
Szepczące wargi, to ich drżenie  
Nie są dla twego oka!  
Calunem mi Przyrody tonie,  
Mój zewłok Noc w swe mroki wchłonie,  
Królewska Noc głęboka.  
  
Duch mój powróci k'temu właśnie,  
Który mu dał te blaski;  
Ale ty nie myśl, że on zgaśnie,  
Gdy braknie twojej łaski.  
On będzie żył i jaśniął dalej  
Ogniem, co tobą się nie pali,  
A którym on obdarza,  
On, co w zwycięstwa jasnej dobie  
Na przemożonym stanął grobie,  
Skąd Śmierć uciekła wraża.  
  
Idź więc! Na świata dziś ruinie  
Ja dzięki Niemu stoję,  
Największą gorycz chłoną ninie,  
Jak nigdy, usta moje.  
Idź, powiedz Nocy, co cię kryje,  
Że tu ostatni Adam żyje  
Śród cmentarnego łanu,  
Że nie istnieją takie siły,  
By nieśmiertelność w nim zabiły  
I jego ufność w Panu.“

#### DO POLSKI.

Chocia-m już widział, Polsko, miecz w twej dłoni,  
Wstań, Nieśmiertelna! Jeszcze raz do bronii!

Więcej twa flaga, niż rycerską, zwie się;  
W cień się przy tobie trykolora niesie;  
Nie zdzierzy ciebie warga nienatchniona  
I w sercu mojem pieśń bezwładnie kona...  
Majestatyczni mące! Nie do wiary  
Są wasze czyny, lecz dech mi bez miary  
Zapiera los wasz! Nienawistne dusze,  
Dla których obce są miecze i kusze —  
Jakież to wstręty, czuję, budzą we mnie,  
I to tem większe, bo czuję daremnie!

O Polsko! Widzę w tem krzywdę niejedną  
Ust wpółlitosnych, co zowią cię biedną!  
Biedna! To Anglia żalem cię obdarza,  
A złodziejskiego nie zdusi cesarza!...  
W pętach Burbonów, Francja się nie ruszy  
I Niemcy w sobie już nie mają duszy:  
Państwa te martwi olbrzymia przewaga,  
Nieustraszona li Polska się zmaga.  
„Wyście bogaci w sławę, krew lejecie,  
Lecz nie wesprzemy was, my biedni przecie!“  
Urągająca losom, w oczach świata  
Z nieśmiertelnością dziś się Polska brata;  
Choć znów Oprawca wpycha miecz w nią krvawy,  
Przecież nie zerwie z skroni wieńca sławy.  
I znów ofiara pada uwieńczona,  
Święte jest miejsce tam, gdzie ginie ona.

Lecz zbądź się, duszo, czarnych przepowiedni:  
Duch wielkiej Polski nieśmiertelny! Przedni  
Blask, który z niebios poto jest zesłany,  
By rozwściekłe poskromić tyrany.

Ona, jak feniks, odnowi swą postać,  
By w dziejach świeże skrzydła sławy dostać,  
By Atenami być po Maratonie:  
Wznosi swe sztuki, wymową zaplonie,  
Jasna, jak oręz, który w ręku dzierzy!  
O, niechże z nieba spłynie strumień świeży  
Wielkiej radości, takie szczęścia zdroje,  
Coby i życie pochłonęły moje.  
Przyjdź dniu, gdy Polska walki nieustanne  
Skończy, a słońce zaświeci poranne  
Na moim grobie!... Dzień promiennej sławy,  
Kiedy w katedrze już wolnej Warszawy  
Zalśnią sztandary, zdobyte na wrogu!  
Tłum pięknych niewiast dzięki złoży Bogu,  
Korni rycerze z zgietemi kolany,  
W tarcze herbowne przystroją się ściany,  
Z ołtarzy, pełnych kadzideł, do góry  
Hostja się wzniesie; nawy mrocznej mury  
Od brzmień organnych zadrzą; wielecy zmarli  
Z swoich się grobów na światłość wydarli:  
Król Jan, Europy zbawiciel, tu będzie  
I Poniatowski świetlany, w ich rzędzie  
Stanisław Kościuszko. Gromnice płonące  
I alleluja radosnych tysiące  
Tak się rozleją światłem nieprzebytem,  
Że wszystko jednem stanie się zachwytem.

A gdyby losy odwrócić się miały  
Od widowiska, tak pełnego chwały  
I rabuńników wtargnęło znów morze,  
Nie myślcie sobie wy, co te nieboże  
Spełniacie zbrodnie, albo milczkiem na nie  
Dziś pozwalacie, że to krwi wylanie

Waszego brata Abla nadaremnie  
Zwalczało czynu podobnego ciemnie!  
Wy, o Niemcowie, na to hańby życie  
Z fosforem w oku i flegmą patrzcie!  
Ta-ż to Germanja, tak głęboka duchem,  
Pełna i nauk i sztuk? Pod obuchem  
Rządu dziś tylko spać jej cała wola,  
Duszę ma w sobie książkowego mola!  
Z warg pusta rzecz wam o wolności płynie,  
O konstytucji prawicie przy winie.  
Wasza przysięga zgnieść jarzmo tyrana  
Przy bachanaljach bywa wyczerpana,  
Przy marnych śpiewkach i cygarach... Nieba!  
Czyż Przezorność młota dziś nie trzeba,  
By rozbić ciężki ołów w waszej głowie  
Metafizyczno-mistycznej? Któż powie,  
Że ten sam ucisk, który Polskę grzebie,  
W grób też nie zepchnie, Germanjo, i ciebie?...

Patrz! Kiedy Polak, Francji awangarda,  
Przykucnął, kiedy jego ręka twarda  
Wystawia dzidę, ona się odwraca  
Od opuszczonych przyjaciół: jej praca  
Głaskać niedźwiedzia, co na patrjotów  
Mięso tak czyha! Kupry! handel gotów,  
Nędzny, sromotny! Wypoczynek krótki,  
Umierających kłatywy, jęki, smutki  
Tych, co kochali, co służyli wiernie,  
A dziś za ufność takie mają ciernie!...  
O wy Francuzi! Wy! Umarłych groby  
Dziś oskarżają te wasze sposoby!  
Liściami wawrzynów uwieńczone czoła,  
Piersi gwiazdami okryte dokola,

Niejedną bowiem otrzymały bliznę  
Za legionów francuskich ojczyznę,  
Jakież to ku wam kierują wyrzuty  
Z pola, gdzie wiedli bój straszliwie luty  
Za honor Gallji!... Wiara zawiedziona  
Więcej przynosi dzisiaj szkody ona,  
Francjo, twej sławie, temu życiu życia,  
Niż bitw dwadzieścia, przegranych dla bycia  
W walce chwalebnej!...

A Anglia? Upadła

Ona tak nisko, zdrętwiała i zблadła,  
Że więcej strachu, niżli gniewu mamy,  
Gdy do sąsiedzkiej dobija się bramy  
Jawny morderca — nie z maską na twarzy,  
Ani w przebraniu, bojący się straży,  
Z nożem w zanadrzu, czyhający skrycie,  
Za życie gotów własne oddać życie  
Na haku, tylko morderca publiczny,  
Który w wykwintnej pompie ustawicznej,  
Królewski mając gniew sprawiedliwości,  
Chodzi po świecie i więcej w swej złości  
Leż, krwi wyciśnie, niż to, w winnych tłumie  
Na szubienicy, Sprawiedliwość umie.  
Koronowany jest nam znan morderca;  
Wijem się, kręcim, a nie chcemy serca  
Bezużytecznym trapić oburzeniem!  
Jeki, wzdychania, gniewy, lecz z sumieniem  
Rozbrat: Nie spłonie nasze zimne lice,  
By mu rycerską rzucić rękawicę.

Gdyby tej walki powód był wątpliwy,  
Lub zwykła grabież nawiedziła niwy

Świata, lub państwa w pospolitej wojnie  
Jeli się zmagać, mogłaby spokojnie  
Patrzeć Brytanja na rabusiów rzędy  
I rabowanych i, oddechu wzgłydy  
Majac dla siebie, czułaby, że z głowy  
Jeszcze jej wieniec nie spada laurowy.  
Ale to walka jest Światłości z Nocą,  
Ziemia to zmaga się swą całą mocą  
Z pojęciem carstwa. Ucisk, który sobie  
Używa dzisiaj na tym naszym globie  
I swym sztyletem sięga gdzie li zdoła,  
Na wolnych braci, poległych dokoła,  
Wskazując swoim sztyletem, z pogardą  
Także nad wami nim potrząsa, twardą  
Wróżąc nam dolę. Koszałki nielada  
O ujarzmionej Polsce opowiada  
Swobodnym państwom, takie niesłuchanie  
Ważąc w ich oczach to naigrawanie.

O ma Ojczyzno! Zali twoje skronie,  
Ongi tak dumne, gniewem nie zapłonie  
Na tę obiegę? Zali nie masz floty  
Z flagą chwalebną, co swemi trzepoty  
Raduje każdą lódź, niosącą gromy?  
Czy nie zabarwisz wód, gdzie ten widomy  
Włada hańbiciel, posoka, wylana  
Z żył barbarzyńskich? Czyż przyjdzie to rano,  
Że jego flagę wypędzisz na wieki  
Z wód Oceanu? O jakże daleki,  
Razem z ojczyzną mą, ty świetny królu!,  
Od skał tych morskich, gdzie śpiewam pieśń bólu!  
Głębie raduje nasz sztandar... Spokojny  
Toczy się statek, zbudowan dla wojny,

A z niebosklonu błękitnej obręczy  
Wznosi się zwolna promienisty łuk tęczy,  
Pomiędzy liny i płotna się wciska,  
Aż w cudownego ogromu widowiska  
Zmienia się cały... Wyobraźni oczy  
Częstokroć w zmysł się zmieniają proroczy:  
Przyjmują znak ten, nieba obietnice  
Widzą w tym łuku tęczy me żrenice.  
Okręt, wykładnik potęgi Brytanji!...  
Ale jeżeli zawiedziesz się na niej,  
Narodzie polski, to ja twoją duszę  
Na szczyty jeszcze wyższe podnieść muszę,  
Nad przykład, litość, chwałę i przygany,  
Być bezgraniczne kosił Ślawy łany.  
Ty już nie żądaj wsparcia od narodów,  
Twej rycerskości nie pomnich... Powodów  
Dość ma Europa, by być dłużną tobie.  
Choć jesteś, Polsko, jak ten Lazarz w grobie,  
Przecież żebrażką nie wstaniesz z mogiły:  
Czy Polskę będą okrutnie trapili  
Gniewy Fortuny, niebezpieczeństw rączy  
Bieg nad przepaście, nigdy nie połączy  
Ona z rozpaczą swojego imienia.  
Wszystko złe chodzi razem: dopuszczenia,  
Plagi, wichury, wylewy, pożary.  
Siła li może powstrzymać bezmiary  
Krwi ściekającej... Czem jest wolność w świecie,  
O to się państwa nie troszczą, a przecie  
Prędzej czy później mieć tę Wolność muszą.  
Tyran, co ciało uśmierca, nad duszą  
Zbiornową mocy już nie ma. Im dalej,  
Tem bardziej wola dziedziczna się pali

W piersiach pokoleń, z rodzica na syna  
Idzie ta żądza, to jest ta jedyna  
Włość serc: polegli ojcowie, chcęć boju  
Tem silniej wnuków wyrywa z spokoju.

Polska, bogata w huf dawnych rycerzy,  
Coraz mniejniejszych stworzy zastęp świeży.  
Sztandar jej orla stanie się na ziemi  
Pierwszy i z tony połączys ludzkiem  
Orłą moc ducha — jej wzorem się stanie...  
Ale tu kończą to w jej cześć śpiewanie  
Słabe me wargi; niech młodości bardowie  
I lepsze lutnie przyjdą po mem słowie.

# L O R D B Y R O N

## Z MELODYJ HEBRAJSKICH.

1

Idzie w piękności swej ozdobie,  
    Jak noc gwiaździsta bez obłoku;  
Czar, który blask i mrok ma w sobie,  
    W jej twarzy zlewa się i oku;  
Dzień w swych łagodnych zmierzchów dobie  
    W takim nie kąpie się uroku.

Ani za dużo ni za mało  
    Ogni i cieni człek w niej zoczy;  
Spokojne światło się rozlało  
    Na czarnych falach jej warkoczy;  
Jak jest rozkoszne to jej ciało,  
    Mówi w niem ducha wdzięk uroczy.

Te brwi, to czoło, ta źrenica,  
    Ta cicha spojrzeń jej wymowa,  
Ten uśmiech wargi, gładkość lica  
    Bez zbytecznego głoszą słowa,  
Że się miłości tajemnica  
    I dobroć w czystem sercu chowa.

2

Posepny duch mój; w harfy strony  
    Uderz coprędzej, niech w me uszy

Popłynie głos ich przytłumiony;  
    Jeżeli jeszcze mam w swej duszy  
    Troszkę nadziei, to ją ruszy  
Dźwięk ten i łzy me, gdy są w oku  
    Spłyń, by żary swych katuszy  
    Utopił mózg mój w ich potoku

Lub dobadź tonów, pełnych grozy,  
    Niech pieśnia bolu harfa jęknie;  
Niezbydne są mi dzisiaj ślozy,  
    Bo mi, śpiewaku, serce pęknie!  
    Karmione troską, nieraz stęknie  
W bezsennych nocach; niech w tej chwili  
    Już mi na wieki się przelęknie,  
    Lub się na świeży hymn wysili.

3

Widziałem łzy twe, jak potokiem  
    Płynęły-ć z błękitnych oczu:  
Do ros niebieskich w swem głębokiem  
    Podobne były przezroczu.  
Widziałem uśmiech twoj: zaiste,  
    Szafir przy tobie jest niczem,  
I który to blaski promieniste  
    Z twem zechce równać obliczem?!

Widziałem, jak kolory słońca  
    Chłoną obłoki te w siebie  
I jak ich wieczór snać do końca  
    Nie zdola zgasić na niebie;  
Tak i twój uśmiech: acz z bolesci  
    Pełnego serca, to przecie  
    Jasne wesele w głębi mieści,  
    Słoneczny blask siejąc po świecie.

## STANCE POD MUZYKĘ.

„O lachrymarum fons, tenero sacros  
Ducentium ortus ex animo: quater  
Felix! in imo qui scatentem  
Pectore te, pia Nympha, sensit!“.  
Gray

Świat ci nie da tej radości,  
    Jaką ci odebrać umie,  
Kiedy ogień młodych myśli  
    W smętnej gaśnie już zadumie.  
Nie tak prędko na obliczu  
    Więdnie młodem krasa świeża,  
Jak kwiat serca, nim precz jeszcze  
    Sama młodość pójść zamierza.

Tych niewielu, co chcą płynąć  
    W potrzaskanej szczęścia lodzi  
I omijać głębie grzechu,  
    Nie utonąć w zła powodzi,  
Tracą magnes, albo widzą,  
    Że wskazuje im jedynie  
Takie brzegi, dokąd nigdy  
    Ta ich barka nie dopłynie.

I, jak śmierć, się potem zbliża  
    Ten chłód ducha; duch ten, Boże!  
O swych własnych nie śnił bolach,  
    Odczuć cudzych więc nie może.  
Zmrozili się łez krynice  
    I choć jeszcze błyska oko,  
To jedynie zimnym lodem,  
    Który tak je ściał głęboko.

Tak i dowcip tryska z wargi,  
    Tak ze serca żart się leje,  
Kiedy człowiek o północy  
    Snu utracił już nadzieję;  
Tak się w zwojach bluszczu kryje  
    Powalona, stara wieża:  
Gruz we środku i zniszczenie,  
    Choć na zewnątrz zieleń świeża.

Abym dzisiaj czuł, jak czułem!  
    Abym był tak, jak przed laty!  
Abym płakać mógł, jak ongi,  
    Świadom swej niejednej straty!  
Jak są miłe, choćby słone,  
    Te w pustynnych piaskach zdroje,  
Tak w żywota mego pustce  
    Byłyby też i łzy moje!

## DO TYRZY.

Cios jeszcze jeden, a w żałobie  
    Przestanie pękać serce moje;  
Jedno westchnienie zamknąć w tobie  
    I znów w poprzednie wrócić znoje.  
Dobrze mi będzie czynić zadość  
    Sprawom, tak obcym w przeszlej porze,  
Choć mnie odbiegła wszelka radość,  
    Jakiż to ból mnie spotkać może?

Więc czaszę wina mi przynieście,  
    Nie na to czek, by żył samotnie!  
Chcę lekkoduchem być nareście,  
    Nie płakać z nikim, a ochotnie

Śmiać się z wszystkimi, choć tak przecie  
Nie było dawniej. Lecz gdy w trudzie  
Zostawiłaś mnie, niczem-ś w świecie  
Dla mnie, jak niczem wszyscy ludzie!

Prózno mi lekką stroić lutnię:  
Śmiech, co uragać chce żałobie,  
Która z pod niego patrzy smutnie,  
Jest jako rózy kwiat na grobie.  
Choć towarzysze od puharu  
Chęć ból w wesołej gnać godzinie,  
Rozpalać duszę mą do żaru,  
Serce samotne przecież ginie.

Dobrze samotną, cichą nocą  
Zatopić wzrok swój w nieb przezroczysty,  
Bo mi się zdaje, że się złocą  
Tak samo two myślące oczy.  
Nieraz egejskie prując wody  
Przy blasku Cyntji, myślę sobie:  
„Tyrza na księżyc patrzy młody!”  
Lecz ach! on świeci na jej grobie!

Nieraz, gdybole mnie trąpili,  
Gdy sen nie schodził na me łóże,  
„Dobrze”, myślałem już bez siły,  
„Że Tyrza widzieć mnie nie może.”  
Ale jak wolność dawać szkoda  
Niewolnikowi, co już kona,  
Tak darmo wróci mi Przyroda  
Życie, gdy Tyrza pogrzebiona.

W Tyrzy-m dni lepszych miał rękojmie,  
Gdy życie, miłość były świeże;  
Dziś wzrok twój ócz mych już nie pojmie,  
W takiej to blask ich przygasł mierze!  
Twe serce, dane mi od ciebie,  
Zmilkło... Z jakiego zaś powodu  
Moje — niech raz już śmierć je grzebie! —  
Ma wciąż odczuwać rękę chłodu?!

Gorzka rękojmio! Smutny darze!  
Powitać ciebie jakże miło!  
Uchowaj miłość w dawnym żarze,  
Lub serce złam, co się tulilo!  
Miłość łagodzi czas i prości,  
Lecz nie zabija!... W mym rozumie  
Pierwszą z tysiącznych jest miłości  
Ta, co się zmarłych zrzec nie umie.

#### NIECH JUŻ ME SERCE BIĆ PRZESTANIE\*).

Niech już me serce bić przestanie,  
Kogóż bo jeszcze niem poruszę?  
Lecz choć omija mnie kochanie,  
Ja kochać muszę.

Dni me to zwiędły liść; owoce  
I kwiat miłości szczezły marnie!  
Robactwo, rak i cierpień moce —  
To mnie ogarnie!

\*) Wiersz napisany na krótki czas przed śmiercią. Byron dał mu tytuł: „Na dzień, w którym skończyłem lat trzydzieści sześć”. — Missolunghi, 22 stycznia 1824.

Ogień, co wewnętrze me pożera,  
Jak niby wulkan gdzieś w pustyni:  
To nie pochodnia życia szczerza —  
Stos się zeń czyni.

Nadzieja, trwoga, zazdrość, szalały,  
Miłości żar i ból jej głuchy  
Dziś już nie dla mnie: pozostały  
Li jej łańcuchy.

Ale nie dziś, nie tutaj o tem,  
Gdy tam niejeden już z rycerzy  
Czoło swe wieńczy sławy splotem,  
Lub w grobie leży.

Chwała i zastęp greckich mężów,  
Miecz i proporze — cel dzisiejszy!  
Spartanin, niesion na pawęzy,  
Nie był wolniejszy.

Zbudź się, — nie Grecja, ta już w boju! —,  
Zbudź się, mój duchu! Myśl, przez kogo  
Do ojczystego tęskni zdroju  
Krew ma tak błogo!

Te żądz niemęskich zdępc porywy,  
Niech raz ja dzień ten już pogrzebię!  
Gniew piękna, jego uśmiech żywego  
Dziś nie dla ciebie!

Giń, gdy żałujesz swej młodości!  
Na polu walki wyrwie z matni

Śmierć cię chwalebna! Tam złoż kości,  
Stłum dech ostatni!

Co inni mieli bez szukania,  
Szukaj: w żołnierskim tylko grobie  
Szukaj posłania, nikt nie wzbrania  
Tam spocząć tobie!

### MROK\*).

Sen miałem kiedyś, choć nie sen to może.  
Słońce promienne zagasło, a gwiazdy  
W wiecznych błądziły przestworach, ściemnione,  
Bez dróg i blasków. Lodowata ziemia  
W bezksięycowej zawiła przestrzeni,  
Ślepa i czarna. Pojawił się księżyce  
I znikł i znów się pojawił, lecz z sobą  
Dnia on nie przyniósł. Ludzie, przerażeni  
Tą straszną pustką, zapomnieli całkiem  
O namiętnościach, a chłód wszystkie serca  
Do samolubnych pchał modłów o światło.  
I ludzie żyli jakby przy ognisku:  
Trony, pałace głów koronowanych,  
Domy i chaty, schroniska wszystkiego,  
Co tylko żyje, płonęły. Szły z dymem  
Miasta; naokół pałaczych się mieszkani  
Tłum się gromadził, ażeby raz jeszcze,  
Jeden drugiemu, spojrzeć sobie w oczy.  
Szczęśliwi byli ci, co się gnieździli

\*) Mickiewicz, przekładając ten jedenastozgłoskowy, nierymowany utwór, posługiwał się wierszem trzynastozgłoskowym i rymowanym.

Naprzeciw wrzących pochodni wulkanów;  
Światu została jedynie nadzieja,  
Zmieszana z trwogą. Podpalono lasy,  
I te z godziny na godzinę z hukiem  
O ziem padały: wałac z strasznym się łoskotem,  
Walące klody, trawiły się, trzeszcząc,  
I wreszcie gasły. Mrok pochłonął wszystko.  
Ogniem rozpaczły ogarnięte czoła:  
Niesamowity przedstawiały widok:  
W łyskach mającą się ludzie; z nich jedni,  
Zakrywszy oczy, płakali, zaś drudzy,  
Brody podparły kulakiem, ginęli  
Z śmiechu; znów inni, pędząc w wszystkie strony  
Znosiły żertwy na stos całopalny.  
I ze szaleńczym niepokojem oczy  
Zwracali k'niebu, czarnemu kirowi  
Zmarłego świata; znów inni wyjac,  
Klnąc i zgrzytając, tarzali się w prochu.  
Dzikie zaś ptactwo, przypadły do ziemi,  
Z bezużytecznym mocuje się skrzydłem.

Najdrapieżniejsze jawią się zwierzęta,  
Trwoga je widać, oswoiła; zmije  
Pełzną ku ludziom z sykiem, lecz bez żądeł,  
A ci je biją na pokarm. I wojna,  
Zmilkły na chwilę, wybuchła na nowo.  
Krwią okupione jadło spożywano —  
Każdy z osobna chował się na boku —,  
W posępnej dławiąc się trosce. Z miłości  
Nic nie zostało: na ziemi li jedna  
Myśl ogarnęła wszystkich — myśl o śmierci  
Nieunknionej i niesławnej. Wszystkie  
Wnętrzności szarpał głód; ludzie ginęli,

Ciała i kości ich niepogrzebione.  
Psy żarły panów swych, oprócz jednego,  
Który pozostał wierny umarłemu:  
Znosił mu ptactwo i zwierzęta, głodnym  
Wciąż odszczekując się ludziom, dopóki  
Sami nie padli z głodu lub ich chudych  
Szczęk nie nęciły trupy. Sam dla siebie  
Nie szukał żeru, tylko z nieustannem,  
Żałosnem wyciem pótły lizał ręce,  
Które go głaskać i pieścić przestały,  
Aż zdechł... Stopniowo wymarł wszelki człowiek,  
Padł z wycieńczenia. Dwóch li jeszcze było  
W ogromnym mieście. Wzajem sobie wrodzy,  
Zeszli się razem przy dogasającym  
Ogniu ołtarza, gdzie nagromadzono  
Stosy przedmiotów świętych, nieświętego  
Oczekujące użytku. Zimnemi  
Rąk szkieletami rozgrzewając popiół,  
Znaleźli kilka słabych iskier i słabą  
Dmuchając piersią, wydobyli krtynę  
Ognia — płomienie jak na szyd. I oczy  
Wzniósłszy, gdzie było nieco więcej światła,  
Zobaczyli się i — padli; położył  
Wstret ich wzajemny; nie poznali siebie,  
Lecz głód wypisał na ich czoło jedno:

Nieprzyjaciele... I świat opustoszał;  
Ongi tak ludny i taki potężny,  
W martwą się zmienił bryłę, bez pór roku,  
Bez ziół, bez kwiatów, bez drzew i bez ludzi —  
Chaos bez ruchu, kupa martwej gliny.  
Rzeki, jeziora i morza bez życia.  
Nic się w umilkłych nie ruszyło głębiach;

Statki, żeglarzy pozbawione, gniły —  
Maszty padły kawałami, otchłań  
Fal nieruchomych chłonęła ich szczeły.  
Burze zmartwiały, wody w swojej własnej  
Legły mogile. Przedtem jeszcze zamarły  
Księżyce, ich władcą. W zdrętwiałem powietrzu  
Szczeszły wichury, zginęły obłoki:  
Nie potrzebuje mrok już ich pomocy,  
Od tej chwili stał się już wszechświatem.

### PROMETEUSZ\*).

Tytanie, ty, co bez pogardy,  
Acz Bóg na miejscu tak wysokiem  
Swem nieśmiertelnem-ś patrzał okiem  
Na los śmiertelnych gorzki, twardy,  
Jaką-ż za litość masz podziękę?  
Milcząca, straszna, ciągła mękę,  
Skałę i sępa i kajdany,  
Dla dumnych ból niewyczerpany,  
Agonię, której nie pokażą,  
A dolą to najbardziej wraża!  
Wzdychają tylko w tej godzinie,  
Gdy są samotni, gdy niebiosy  
Są obojętne na ich losy,  
Kiedy ich jęk bez echa ginie.

Tytanie! Bój ci było trzeba  
Między cierpieniem wieść a wolą:  
On nie zabija, choć tak bola

\*) Istnieje przekład Wł. Nawrockiego. Por. Chmielowski i Grabowski, „Obraz literatury powszechniej“.

Jego tortury! Twarde nieba,  
Tyranja losów nieugięta  
I ta z bezprawia złość poczęta,  
Co stwarzać tylko to pamięta,  
Na co kłaść może wieczne pęta,  
Nawet ci śmierci odmówili:  
Masz nieśmiertelność — dar ten silny  
Znosisz mężnemi! To, co z ciebie  
Wydobył gromów król, to przecie  
Była li groźba, co mu w dusze  
Umiała przelać twe katusze:  
Nie wyjawileś, co go zgniecie,  
Acz była-ć znana przyszłość w niebie.  
Twoje milczące te wyroki  
Żał mu daremny, a głęboki  
Wzbudziły w duszy, tak, że z lęku  
Aż mu zadrżały gromy w ręku.

A twoją zbrodnią było boską,  
By wskazówkami zmniejszyć swemi  
Sumę cierpienia na tej ziemi  
I aby człek, złamany troską,  
Własnym się wzmacnił duchem; z góry  
Strącon, umiałeś los ponury  
Znosić cierpliwie, odbić cirosy  
Mocą swej woli, które słały  
Na ciebie ziemia i niebiosy:  
Przykład to dla nas jest wspaniały!

Tyś jest symbolem, w tobie droga,  
Czem ma być człowiek w życiu swojem,  
Gdyż on jest, jak ty, częścią Boga,

Z czystego źródła mętnym zdrojem.  
Przez ciebie człek przewidzieć zdola  
Nieszczęsne losów swoich koła,  
Swoją odporność, byt swój cały,  
I jakie moce go złamały  
I że nasz duch jest równie mocny,  
Że jego bój nie bezowocny,  
Że jego woli pęd wspaniały  
Kłeska najlepiej snać wywoła,  
Że wyjdzie godnie z trosk nawały,  
Że nawet śmierć zwycięży zgoła,  
Jeśli męznego będzie czoła.

WALTER SCOTT

Nie będę się rozpisywał o życiu i dziełach Waltera Scotta; znane są one każdemu, jako tako z historią piśmiennictwa angielskiego oswojonemu czytelnikowi. Któz z nas zresztą, zwłaszcza za młodu, nie rozkoszował się takiemi opowieściami poetyckimi i romansami, jak „Pieśń ostatniego minstrela“, jak „Marmion“, „Pani Jeziora“, „Robby“, „Pan wysep“, „Waverley“, „Rob Roy“, „Narzeczona z Lammermoor“, „Ivanhoe“, „Kenilworth“, „Quentin Durward“ — i tyle a tyle innych, romantyką przepelmionych utworów.

Nie wszystkie jednakową mają wartość; niejedna z tych epik straciła swą świeżość (dla polskich czytelników przyczyniają się do tego naogół wzialszy nieszczególne nasze przekłady), — pierwiastki stałe polegają przecież na głębokiem odczuciu przyrody, wspaniale niejednokrotnie odmawianej w krajobrazie szkockim, na tęsknocie do dawnych czasów rycerskich, na idealistycznem pojmonowaniu życia.

Poznawszy zbiorek staroangielskich ballad, wydanych przez biskupa Percy'ego, zebrał i ogłosił trzytomowy zbiór „Pieśni z szkockich rubieży“ („Minstrels of the Scottish Border“).

Ur. 1771 w Edynburgu, zmarł 1832 w swym zamku Abbotsford; pochowano go w Dryburgh-Abbey, a w Edynburgu wdzięczni Szkoci, których ojczyznę tak pięknie opiewał, wspaniały wznieśli mu pomnik.

### ROBERT SOUTHEY

Znienawidzony przez Byrona i Shelley'a za odstępstwo od zasad rewolucyjnych, „postępowych“, którym hołdował w młodzieńczych latach życia, Robert Southey (ur. 1774 w Bristolu, zm. 1843 w Greta) jest przedewszystkiem autorem głośnego, mimo wszystko wielkich piękności nie pozbowionego, na stosunkach arabskich opartego poematu „Thalaba the Destroyer“ („Talaba niszczyciel“). Do najgłówniejszych i największych rozmarami poematów epickich Southeya zaliczyć trzeba „Przekleństwo Kehama“, tym razem na motywach hinduskich.

„Szkoła jezior“ ma w nim jednego z głównych przedstawicieli, dzięki przedewszystkiem licznym, w utworach jego rozśianym obrazom przyrody.

Rewolucyjne zasady i uczucia zamknął w latach młodzieńczych w takich opowiadaniach poetyckich, jak epos o „Joannie d'Arc“ i „Wat Tyler“ (w formie dramatycznej), traktującym o buncie tego bohatera ludowego przeciw Ryszardowi II (1381).

Za młodą marzył razem z Coleridge'm o przeniesieniu się do Pensylwanji i założeniu tam nowego, na wolności opartego państwa.

Od r. 1813 „poeta laureatus“ — po zrzeczeniu się tej godności przez Waltera Scotta, — stale mieszkając w miejscowości Greta, nad jednym z jezior Kumberlandzkich, nie przestawał pisać dalej. Między innymi powstało wówczas poetyckie opowiadanie „Roderyk, ostatni król Gotów“, a przedewszystkiem „Wizja Sądu“, utwór, który — tym razem słusznie, choć niemilosiernie — wykpił Byron.

Podobnie jak przedtem jego żona, dostał i Southey obłęd, z którego uwolniła go śmierć w r. 1843.

Poza poematami, jest Southey autorem licznych prac

prozaicznych, o treści historycznej, literackiej, politycznej, oraz przeróbek romansów średniowiecznych.

### SAMUEL TAYLOR COLERIDGE

Najgłośniejszy i najszczerszy z Lakistów, urodzony 1772 r., napisał między innymi „The Ancient Mariner“ („Pieśń o starym żeglarzu“, 1797), „Christabel“, „Zapolya“, tragedię „Remorse“ („Wyrzuty sumienia“), dramat historyczny „Upadek Robespierre'a“, i sto kilkadesiąt utworów drobniejszych, sonetów, od, elegij itd. Umarł 1834 r.

### TOMASZ CAMPBELL

Tomasz Campbell, zasługujący na miłość naszą ze względu na piękny, proroczy poemat o „Polsce“, należał do najsubtelniejszych poetów epoki „Szkoły jezior“. I on odczuwał i rozumiał przyrodę, której poświęcił kilka pięknych wierszy.

Urodzony w r. 1777 w Glasgowie, przeniósł się z czasem do Edynburga i tutaj ogłosił (1799) większy, w duchu Pope'a poemat dydaktyczny: „Rozkosze nadziei“ („Pleasures of Hope“). Był to poemat odpowiadający gustom ówczesnym, to też stał się podwaliną jego sławy. — Romantycznym, Waltera Scotta przypominającym utworem jest opowiadanie o „Gertrudzie z Wyoming“, oparte na zniszczeniu (1778) przez Indian kolonii angielsko-amerykańskiej Wyoming w Pensylwanii.

Romantyką zatraca silnie i inny jego poemat: „Pielgrzym z Glencoe“ („The Pilgrim of Glencoe“).

Z drobniejszych liryków z dużą spotkały się uznaniem takie rzeczy, jak „Sen żołnierza“, „Gwiazda wieczorna“ i inne, z których kilka mają czytelnicy w tej książce.

Umarł Campbell w Boulogne w r. 1844.

## SPIS RZECZY:

	Str.
Walter Scott . . . . .	5
William Wordsworth . . . . .	12
Robert Southey . . . . .	21
Samuel Taylor Coleridge . . . . .	28
Keats . . . . .	34
Tomasz Campbell . . . . .	35
Lord Byron . . . . .	48

OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ

V.

OBRAZ  
POEZJI ANGIELSKIEJ  
Z ORYGIN. ANG.

ZEBRAŁ, PRZEŁOŻYŁ  
I NOTATKAMI BIOGRAFICZNEMI OPATRZYŁ  
JAN KASPROWICZ

WYDAŁ Z RĘKOPISU WOJCIECH MEISELS  
KRAKÓW — 1931

# S H E L L E Y

## HENRYCIE SHELLEY.

(Z poematu „Królowa wrózek“)

Czyjaż to miłość tak świat opromienia,  
Zatrute szyderstw odbija pociski?  
Któz mnie gorącą darzy pochwałą,  
Cnoty najsłodszą zapłatą?

Czyjaż źrenica ożywia mi duszę,  
Że tak dojrzała w prawdzie i wytrwaniu?  
W czyjeż jam oko wpił się miłością  
I świat ten silniej ukochał?

Twoje to oko!... Tyś mojem „ja“ czystszem  
I mojej piersi ty byłaś natchnieniem,  
Twojemi były dzikie pierwioski,  
Z których splatałem swój wieniec.

Ukryj więc w łonie ten datek miłosny,  
Czas niech się zmienia i niech lata płyną,  
Ja każde kwiecie, w mem sercu wyrosłe,  
Poświęć tobie jedynie.

## KRÓLOWA WRÓZEK.

(Z poematu „Królowa wrózek“)

Cyt! Co za dźwięczny ton?  
Jak pieśń tajemnicza, co drży  
Nad opuszczeniem zwaliskiem,

Kiedy wiatr jęczy zachodni, a fale  
Z ponad wybrzeży wieczornym  
Odpowiadają poszumem.  
Dziksa, niż nuty skłócione,  
Które z gajów i dolin niewidzialnych lir  
Wyciskają powietrzni duchowie.

Płynie śród dźwięków i światła i fal —  
Patrzcie! — królowej rusalek wóz!  
Rumaki krają powietrzny szlak,  
Puszyste skrzydła na rozkaz jej  
To roztaczając, to tuląc wnet,  
Posłusze cugłom świetlanym...  
Wtem czarodziejka wstrzyma ich bieg,  
Miejsce to czarem oplecie  
I nad powietrznym przechylona wozem,  
Wzrokiem przeciągły, spokojnym  
Spocznie na sennej dziewczyny.

Ludzkie przenigdy nie widziało oko  
Postaci tak niezwykłej, tak jasnej i pięknej,  
Jak ta, co nad dziewczyczym przechyla się snem,  
Trzy razy róźdżkę podnosząc swą,  
W amarantowy ubraną liść.  
Szeroki, złoty miesiąca krąg  
Przenikał światłem jej kształt,  
Kształt nieskalanej harmonji.  
Jej perlowego, przejrzystego wozu  
Żaden miesięczny nie zakłoca promień.  
To nie był obraz z tej ziemi:  
Kto takie ujrzał zjawisko,  
Dępczące ludzkie świetności,

Ten nie miesięczny widział blask,  
Ten nie śmiertelny widział czar,  
Ten nie śródnocny słyszał wiatr,  
Ten i nie piosnki słyszał ton:  
Ten widział kształt czarodziejki,  
Ten słyszał dźwięki niebiańskie,  
Drżące w samotnym pustkowiu.

Przewiotka czarodziejka! Ta chmurka włóknista,  
Co wieczornemi ledwie płonie barwy,  
A którą wytężonym trudno dojrzeć oczom,  
Kiedy w mrocznych rozpływają się cieniach,  
To lotna suknia jej!  
Jej nikły, mglisty kształt  
Za lada powiewem drży,  
I jasny, srebrny dźwięk  
Szeptanych przez nią słów  
Snąć tylko dla wybranych przeznaczony uszu.

Gwiazdy! Rozlejcie promienną woń!  
Żywioly, gniewny wstrzymajcie bieg!  
Śpij, Oceanie, śród więńca skał,  
Otaczających tue władztwo!  
Niech się nie zrywa żaden wiew  
Nad onem wzgórzem śród świeżych traw,  
Niech nawet babie to lato  
W cichem powietrzu śpi!...

Wóz czarodziejski mknął.  
Noc była piękna, bezmierny tłum gwiazd  
Ozdabiał niebos ciemnawy strop —  
A tam od wschodu, z głębiny fal

Wyzierał uśmiech porannych zórz.  
Wóz czarodziejski mknął,  
A gdzie kopyta niebieskie tną,  
Powietrze się w ogniste rozpierzchnie skry;  
A gdzie bieg ostry płomiennych kól  
Zatoczy się na szczyty napowietrznych gór,  
Tam błyskawiczny zostaje ślad...  
I oto pomknął na skalny wierch,  
Bezmiernej ziemi ostatni brzeg,  
Tych Andów współzawodnik, których Grzebień ciemny  
Sterczy nad skronią srebrzystych mórz.

A pod tym szlakiem, którym mknie wóz,  
Cichy, jak dziecko w śnie,  
Grzmiący Ocean legł  
I wciąż odbijał w zwierciedle swem  
Gwiazd migotliwe skry,  
Wozu ognisty bieg,  
Rana szarawy błysk,  
Barwiały wełnę chmur,  
Przesłaniających świat.  
I wóz się płynąć zdał  
Przepaścią sklepisk niezmiernych,  
Co płońą nad gwiazd milionem,  
Farb niezliczonych cieniami lśnią,  
Napoły owite wstęgą,  
Rozpryskującą się w grad meteorów.

Wóz czarodziejski mknął.  
Rumaki, widząc już lotu kres,  
Zdały się jeszcze przyspieszać bieg!  
Nie rozróznić już morza; ta ziemia,

Podobna do wielkiego, cienistego koła,  
Słońca bezchmurny krag  
Czarnem się toczył sklepiskiem,  
Lotnego światła promienie  
Pod biegiem lotnieszgo lamały się wozu,  
Opadając, jak morza rozpięcone fale,  
Rozbiwszy wał swych pian  
O okrągły tram.  
  
Wóz czarodziejski mknął.  
Ziemi odległy krag,  
Najmniejszem snać migotał światelkiem na niebie.  
A tam, gdzie wozu tor,  
Systemów kraży nieskończony tłum  
I gwiazdy w ruchach wieczystych  
Sieją wciąż światłość swą!  
Dziwny to widok! Jedne z nich  
Rogate były jak sierp  
Wzbierającego księżyca.  
Inne łagodną, srebrną skrą  
Błyszczą, jak Hesper wśród zachodnich mórz;  
Inne spadły z ognistemi kity,  
Jak światy, których smutnem przeznaczeniem śmierć,  
Inne, płońąc, jak słońce, tam, gdzie tor był wozu,  
Wszelaki inny gąsily blask...

## O ŻYCIE, ŻYCIE!

(Z „Prometeusza niespętanego“)

O życie, życie! Dech swój ninie  
Miłośćią warga twa rozpala,  
A przez twój uśmiech, zanim zginie,  
Iskrzy się zimna wiewu fala,

Przeto go ukryj, bo inaczej  
Oszalał ten, co go zobaczy.

Dziecię światłości! członki twoje  
Palą przez sukni się osłony,  
Jak te promieni rannych zdroje  
Przez obłok jeszcze nie spłoszony.  
Gdziekolwiek zjawisz się, w tej bożej  
Lénisz atmosferze śród przestworzy.

Piękne są inne. Nikt tu ciebie  
Nie widzi, głos li nad głosami  
Słyszą przecudny:blast cię grzebie,  
Jasnością swoją oczy mami,  
Każdy cię czuje, jak ja, luba!  
Którego wieczna czuje zguba.

Ty lampo ziemi! Gdzie się ruszy  
Krok twój, tam mroczny by się zmienia  
W światłość, a skrzydła wszelkiej duszy,  
Która miłujesz, mkną bez cienia,  
Aże upadną w nieb okolu,  
Jak ja dziś padam, lecz bez болu.

## MÓJ DUCH TO STATEK JEST ZAKŁĘTY.

(„Prometeusz niespłetany“)

Mój duch to statek jest zaklęty:  
Przez pieśni twoj srebrne odmęty,  
Jak senny labędź płynie duch twój zasię:  
By anioł siedzi przy mym sterze  
I lódź przez głębie wiedzie świeże

Śród wiatru, co się słodkim twoim dźwiękiem pasie.

I płyną, płyną tak na wieki  
Gdzieś po zakrętach szumnej rzeki,  
Między przepaście, góry, lasy,  
Przez raje, pełne dzikiej kraszy,  
Aż, jako ktoś, na wody morza  
Zaniesion we śnie cichym, do fal łożą  
Dotrę głębokich, w rozgrane przestworza.

Tymczasem duch się twój skrzydlaty  
Uniesie w jasnych dźwięków światy,  
Dogoni wiatry, co się góra toczą.  
I tak żeglować będącim dalej,  
Bez gwiazd, bez toru, pośród fal  
Tylko morską wiedzeni uroczą,  
Aż, najpiękniejszy ty retmanie,  
Łódź moich pragnie cicho stanie  
Śród elizejskich wysp szeregu,  
Gdzie ze śmiertelnych nikt do brzegu  
Jeszcze nie dotarł śród tych włości,  
Co oddychając wokół tchem miłości,  
Niebo na ziemię sprowadzają w gości.

Mijamy starość — mroźne lany,  
Prujemy męskich lat bałwany,  
Płyniem przez morze dni młodych zwodnicze,  
Poprzez dziecięcych złud zwierciadło  
Ku dniom upalnym mknąć wypadło  
Patrząc w narodzin i śmierci oblicze —  
Ku onym rajom, gdzie dokoła  
Płoną rozkwitłe, wonne ziola,  
Do tych wijących się strumieni.

Pośród zacisznych puszczy zieleni,  
Gdzie się postacie wdzięczne roją:  
Tego na zawsze już zaniepokoją,  
Kto raz je widział tak, jak postać twoją.

## CHÓRY DUCHÓW.

(Z poematu dramatycznego „Prometeusz niespętany“)

### I.

Znikły gwiazdy już blade,  
Za błękitne mkną sfery:  
Pasterz-Słońce pogania  
Ich promienną gromadę:  
Ściemnione meteory, do pieleszy swej  
Uciekają, jak łania  
Przed pościgiem pantery,  
Ale gdzie wyjście? Hej!

Tu! Me siły  
Do mogiły  
Niosą rodzica lat, co się prześniły:  
W grób wieczności  
Czasu kości  
My, cienie zmarłych godzin, złożym w mroczne włości.

Nie im kosy,  
Jeno włosy  
Rzucaj na całun ten, lej łzy, nie rosy!  
Zwiędłe zgoła  
Śmierci, zioła  
Na zewłok króla Godzin niech padną dokoła!  
Jak te chmury  
Tam, u góry

Znikają, gdy dzień wkroczy na niebios lazury —  
Jak ta piana  
Rozpryskana,  
Rozwiejmy się przed dziećmi szczęśliwego rana, —  
Jak w swym gonie  
Wicher tonie  
W sen Śmierci, w który tulą własne go harmonje.

### II.

Mkną chmurki w przestworze,  
Lśnią rosły na ziemi,  
Swe fale, swe wały  
Rozpienia w krąg morze —  
To burze zachwytu, to pragnień są tchy!  
To władną wszystkimi  
Rozkoszne zapały,  
Lecz gdzie jesteście wy?

Śpiewają znów sosny  
Odwieczne swe tony,  
Rozdźwiękły potoki  
W swój hymn się radosny,  
Od lądów, od morza snać duchów pieśń drży —  
Weselem szalony  
Grom bije w opoki,  
Lecz gdzie jesteście wy?

### III.

Hejże, puśćcie się w taniec na powietrznym tym lanie,  
Niech pieśń wasza przenika nieme światła na niebie;  
Zaczarujcie dzień chyzy, niech tu jeszcze zostanie,  
Niech się w nory jaskini nazbyt rychło nie grzebie.

Ongi głodne Godziny, jak psy, żądne posoki,  
Dzień, by zwierzę krvawiące, wciąż ścigały bez miary,  
I on włókł się i slaniał, ledwie stawiać mógł kroki,  
Sunąc w nocy ciemnościach przez lat puste obszary

Lecz dziś z tańców i pieśni, z jasnych bytów dziś rzeszy  
Splótszy wieniec mistyczny, zataczając swe kręgi,  
Niech jak, chmury i blaski, orszak Godzin się spieszysz  
Zlać się w jedno z Rozkoszą i z duchami Potęgi.

#### IV.

Płyniem z duszy czeka,  
Co, ślepa od wieku  
I zła — tak było, — darmo światła czeka.  
Lecz dziś, jak głęb morza  
Jasna jest i hoża,  
Pogodna, silna, jak niebios przestworza.

Z głębi, w której łonie  
Radość już dziś plonie  
W kryształowych pałaców osłonie;  
Z wieżyc, gdzie ma leże  
Można myśl, co strzeże  
Tańczących godzin, szczęśliwych w wszechmierze.

Z tej ukrytej grotys,  
Gdzie z wdziękiem pieszczoty  
Miłość swobodnie rozplata wam sploty;  
Z wyspy, w blask zaklętej,  
Gdzie swemi ponęty  
Mądrość-Syrena wabi wam okręty.  
Z uszu, z ócz świątyni,  
Z której człowiek czyni

Schron rzeźby i Poezji, radując się przy niej;  
Z rzeki, której fala  
Z szmerem się skryształa,  
Gdzie Wiedza kąpie swe skrzydła Dedala.

Szereg lat tak mnogi  
Przez krvawe rozlogi,  
Piekło zawiści, nadziei, ęż, trwogi  
Mknęliśmy, by przecie  
Nie napotkać w świecie  
Wysp, gdzieby szczęścia promieniało kwiecie.

Sandały dziś mamy,  
Co nas w inne chramy  
Wiodą: z piór naszych spływają balsamy,  
Przed naszemi oczy  
Ludzka miłość kroczy,  
Co swem spojrzeniem wszystko w Raj jednocy.

Zdobycz już zgarnięta,  
Sprawiona rzecz święta,  
Nurzać się, wzlatać, nic już nas nie pęta.  
Nic nie wstrzyma w pędzie  
Aż poza krawędzie  
Mroku, co wokół wszechświata się przedzie.

Pomkniemy na tory  
W gwiaździste przestwory  
I w ciemne głębie, gdzie królują zmory;  
Śmierć, chaos, Mrok Nocy  
Naszych lotów mocy  
Nie zdzierzą: umkną, jak mgły od burz procy.

Ziemia, wiatr, jak padnie,  
Blask i duch, co składnie  
I silnie biegiem gwiazd płomiennych władnie;  
Miłość, myśl, te sily,  
Które Śmierć stępily,  
Będą u naszych stóp się gromadzily.

Na pustkowia łanie  
Nowy Świat powstanie,  
Li dla mądrości ducha panowanie;  
W naszem dziele skorem  
Ludzki świat nam wzorem,  
Prometejowym nazwiemy go tworem.

## ZIEMIA I KSIĘŻYC CZYLI WIZJA NOWEGO ŚWIATA.

(Z „Prometeusza niespętanego”)

Ziemia

O ty radości, tryumfie, ty szale!  
O nie znające tam rozkoszy fale!  
Zachwycie, który wszelkie rozsadzasz zapory!  
Ha! Jak potęga błogości mnie bierze  
I w swej promiennej topi atmosferze  
I, niesie, jak wiatr niesie swój obłok w przestwory!

Księżyca

Bracie, co stopy mkniesz cichemi,  
Kręgu powietrza ty i ziemi,  
Jak blask, duch jakiś od ciebie się rwie,  
Rozlewa ciepłem się ognistem  
W mojej postaci zimnie szklistem,  
Melodją, wonią i miłością tchnie  
Wskroś mnie! Wskroś mnie!

Ziemia

O haj! Gór moich jaskinie i zdroje,  
Te buchające ogniem skały moje  
Jak śmieją się niezgasłym, przeogromnym śmiechem!

Pustosze, żleby, przepaście i morza  
I niezmierzone te głębie przestworza  
Łączą się z niemi głośnem fal i chmur swych echem.  
Krzyczą wraz ze mną: ty kłatto na tronie!  
Świat, co w zieleni i lazurach tonie,  
Strącaleś w mrok zniszczenia, ślac obłoków ciemnie,  
Ażeby deszczem gromowego głazu  
Zgruchotać kości mych dzieci, od razu  
Oślepić, zmiażdżyć wszystek twór, co wyszedł ze mnie.

Strzeliste wieże, pałace, kolumny  
I obeliski, świątynie i dumny  
Rząd gór mych, lśniących śniegiem, strojnych w ogni  
[złoto;  
Mój las, jak morze, mój kwiat, me liście,  
Wszystko, co we mnie umiera i żywie,  
Nienawiść twoja w marne rozdeptała błoto.

Przeszłaś, minęłaś, niszcząca ty siło!  
Jakieś spragnione „nic“ ciebie wypiło —  
Kropelkę słonej wody, podaną w pustyni  
Ciżbie wędrowców... A dołem i góra  
Miłość przenika twą próżnię ponurą:  
Uderzył grom w jaskinie i światłość się czyni!

Księżyca

Na skale moich górzmartwiającej  
Śniegi w nurt żywego już stopniały;

Faluje, szumi morze, sieje blasków rój.

Duch z mego serca się wyrywa,

Ciepłem mnie jego siła żywa

Przenika: On jest z ciebie, ten żywota zdrój,

On mój! On mój!

Patrząc na ciebie, widzę, czuję,  
Jak kwiat się ploni, zieleń snuje,  
Na łonie mem jak życia rozpienia się war;  
Gra morze, przestwór gra głęboki  
Skrzydlate, rosne mkną obłoki,  
O których śnia pękkwki! To młodości dar,  
Jej czar! Jej czar!

#### Ziemia

Ona przenika bryły mej granity,  
Poprzez korzeni sploty, przez pył zbitę  
Do kwiatów najwonnieszych, do drzew koron sięga;  
Jest tchnieniem wiatrów, porusza obłoki,  
Życie wśród zmarłych budzi, z ich głębokiej  
Mogilys wywołuje ducha jej potęga.

O jak się z grzmotem i wiatrem wynurza  
Z kaźni obłoków rozpiętana burza,  
Tak ona się wyrwała z mrocznych jam żywota  
I, niby ziemi trzęsienie, wstrząsnęła  
Chaosem myśli: przed mocą jej dzieła  
Ból, trwoga, zawiść pierzchły, jak pobitych rota.

I czek, co dotąd piękne świata wzory  
Znieksztalcał w lustrze swojem, od tej pory  
Odbijał w sobie morze miłości: jej siła,

Jasna, pogodna, zawiła wokół,  
Jak błękit niebios, patrzący wesoło  
Nad głębią wód, skąd płynie życia światłość miła.

Człowiek, to dziecię, trudem zarażone,  
Co na zwierzęciu chorem spieszys w stronę  
Gorących, skalnych złebów, gdzie tryskają zdroje  
Uzdrowiające, wraca do Macierzy  
Z uśmiechem szczęścia; ta oczom nie wierzy,  
Lecz wnet obleje łzami drogie skarby swoje.

Tak, czek, nie ludzie! Łanicuch niespożyty,  
Splecion z miłości i mocy, co byty  
Niezwyściezoną skuwa potęgą: tak słońce  
Władnie, jak gdyby jakiś tyran dziki  
Nad gromką ciżbą gwiazdnej republiki,  
Okrutnie prac na niebios rozluźnione końce.

Czek, harmonijna dusza dusz, co bożem  
Sama dla siebie jest prawem, jest morzem,  
Gdzie wszystkie byty świata spływają, jak rzeki.  
Miłość upiększa przecodzienne sprawy,  
Trud, ból igrzą śród życia murawy,  
Jak zwierz, obłaskawieniu, zdało się, daleki.

Duch, co li żądzą pospolitą dyszy,  
Trosk samolubnych, trwożnych towarzyszy,  
Przepelen, nie, by władać, lecz słuchać stworzony,  
Jest już, jak okręt, który miłość ninie  
Wiedzie po fali uległej głębinie:  
Najdziksze brzegi życia biją mu pokłony.

Wszystko uznaje moc człowieka; głazy  
W barwy zaklina jego sen, w obrazy,  
Złocistą nić stwarzając, z której płaszcz dla dzieci  
Przędą dziś matki. I stała się mowa  
Pieśnią orficką, przez nią Dedalowa  
Harmonia w kształtach, dotąd tak bezduszych,  
[świeci...]

Grom jego sługą; niebo mu przedkłada  
Gwiazdy, co przezeń, jak owiec gromada,  
Zliczone, znaczą bieg swój; burza mu rumakiem,  
Mknącym w przestworach. Z głębin słychać głosy:  
„Czyż tajemnicę macie wy, niebiosy?”  
„Nie! Żadnej! Czlek nas odkrył, naszym władnie  
[szlakiem!]“

#### Księżyce

Cień białej śmierci znikł z mej drogi,  
On, co niebieskie me rozlogi  
Otulał ongi w całun, w sen i groźny chłód.  
Śród mojej świeżej dziś altany  
Kroczy z kochanką ukochany,  
Mniej silniej, lecz łagodniej —, jak ów cichy ród,  
Twych dolin płód.

Jak ciepło świtu, które ros kryształy,  
Złote, zielone, roztapia i w biały  
Kłab lotnych mgleł przemienia, co dążąc w przejrzysty  
Błękit niebiosów, przezywa południe  
I blask wieczorny, by nad morzem cudnie  
Rozprzedzać niby wełnę, ognie, ametysty.

#### Księżyce

Spoczywasz, w jasność otulona  
Własnej rozkoszy, co nie kona,

I w niebios uśmiech boski; słońca i gwiazd rój  
Zlewają na cie moc i siłę,  
Życie światłością swą opile,  
A z ciebie płynie na mnie twoich blasków zdrój  
I mój jest, mój!

#### Ziemia

Pod mego cienia mroczną piramidą,  
Której wierzchołki ku niebiosom idą,  
Sen śniąca czarodziejski, o zwycięstw radości  
Szepcę, jak młodzian, co, w cieniu swej własnej  
Leżąc urody, która w blask go jasny  
I ciepło swe otula, żyje tchem miłości.

#### Księżyce

Jak cichną serca, gasną oczy,  
Kiedy w miłosnym się jednocześnie  
Całunku dusza z duszą, tak i ja, gdy cień  
Twój padnie na mnie, milknę cały,  
Ty ziemio, globie przewspaniały!  
Miłośćią twą nakryty, zbyt pełen — bez drzeń —

Twych tchnień, twych tchnień!  
Przecudny świecie, co bez końca  
Toczysz swój krag naokół słońca,  
Kulo błekitna i zielona!  
Wobec twych blasków każda kona,  
Życiem i światłem obdarzona,  
Gwiazda wśród wszystkich gwiazd na niebie!  
O, ja podążam obok ciebie,  
Twój kryształowy ulubieniec,  
Jakiejś potężnej siły jeniec,

Co go przyciąga, jak w magnesie  
Moc ta okryta, co wciąż rwie się,  
W Raj biegunowy. Bez ustanku,  
Jak ta dziewczica przy kochanku,  
Co nie udźwignie snać nadmiaru  
Miłości w sercu, pełna czaru  
I upojenia, tak przy tobie  
Ja ciągle krąże, o ty globie,  
Tak zapatrzony w oczy twoje,  
Ciągle się cisnę: O, tak roje  
Menad cisnęły się jarzące  
Ku onej czaszy, którą ręce  
Agawy ongi podnosili  
W Kadrowym lesie. Druhu mily,  
Gdziekolwiek loty cię prowadzą,  
Ja spieszę, lecę za twą władzą,  
Pośród niebieskiej pędzeli głuszy!  
Chroni mnie uścisk twojej duszy  
Przed żądzą głodnych tych pustoszy.  
Majestat, piękność, żar rozkoszy  
Z twojego biorę ja spojrzenia:  
Tak zakochany się przemienia,  
Lub kameleon, według wzoru,  
Na który spojrzy; tak w przestworu  
Błekit fijołek zapatrzony,  
W te lazurowe nieboskłony,  
Bierze ich barwę; tak i nieprzebyty  
Kłab mgieł rozlewa się w przejrzysty  
Obłok i lśni, jak ametysty,  
Gdy o zachodzie góρ otuli szczyty,  
A na ich śnieżnym zwale  
Słońce już gaśnie —

### Ziemia

Zasię dzień szepce swe żale,  
Że tak się stało właśiel!...  
Luby miesiącu, głos twój na mnie spada,  
Jak na żeglarzy jasność twoja blada,  
Kiedy w noc letnią mknie, gdzie wysp gromada  
W ciszy wieczystej spoczywa.  
Luby miesiącu, dźwięk twój kryształowy  
Wnika w mą głębię, poskromić gotowy  
Żądzę tygrysią i lek ronić zdrowy  
Na ranę, co boli mnie, żywa.

### ŚPIEW BEATRYCZY.

(Z dramatu „Rodzina Cencich“\*)

Cóż mi twój uśmiech i leż twych zdrój,  
Gdy sen padł dziwny na żywot mój!  
Cóż mi twój uśmiech i lzy twe cóż,  
Gdy zimne ciało snać w trumnie już?  
O bądź, falszywy, zdrów!  
Co znaczy szelest ów?  
Wąż w tym uśmiechu, mój drogi ty,  
Gorzką trucizną są twoje łzy!

Gdyby śmierć miała twą słodycz, śnie,  
Lub gdybyś w śmierć się ty zmienił mnie,  
Zamkłabym oczy bolesne wraz,  
By się nie zbudzić na wieczny czas.

\*) Patrz: Percy Bysshe Shelley „Rodzina Cencich“. Przekład Jana Kasprowicza. Lwów 1912, Nakładem Tow. Wydawniczego.

O świecie, żegnaj mi!  
Słuchaj, jak dzwon tam brzmi!  
„Ty i on idzie“, tak mówi tu,  
Czy sercu lekko, czy ciężko mu!“...

### SŁOWA POD MELODJĘ INDYJSKĄ.

Budzę się ze snu o tobie,  
Z pierwszego się budzę snu,  
Gdy gwiazdy się błyszczą na niebie,  
Gdy wiew w cichym budzi się tchu!  
Budzę się ze snu o tobie  
I duchem zrywają się nogi —  
Ach! Dokąd mnie wiodą? Do ciebie,  
Pod okna twe, skarbie mój drogi!

Przeleotny wiatr zwolna zanika  
Śród ciemnych, spokojnych fal;  
Jak senne marzenia, uchodzi  
Zapach czampaku w dal.  
Żałosna skarga słowika  
Zamiera śród jego lona,  
Jak ja zamieram przy twojem,  
O moja ty ulubiona!

Upadam i mdleję i ginę,  
O, podnieś mnie, podnieś z tych traw!  
W deszczu pocałunków zmień miłość,  
Pieść wargi i oczy i zbaw!  
Patrz, lice mam zbladłe i sine,  
Me serce — największa to mąka,  
O przytul do swego je serca,  
Niech przy niem całkiem już pęka.

### DO SKOWRONKA.

#### I.

Cześć ci, wesoły duchu!  
Nie byłeś nigdy ptakiem,  
Co serca pieśń w swym ruchu  
Podniebnym śle nam szlakiem,  
Niewymuszonej sztuki obdarzoną znakiem.

#### II.

Do góry, wciąż do góry  
Wznosisz się ponad nami,  
Jak błysk ognistej chmury;  
Śpiewasz, mknąc błękitami  
I mkniesz, nieustannie darząc nas śpiewami.

#### III.

Kiedy się zorza pali  
Zachodzącego słońca,  
W obłoków złotej fali  
Ty mkniesz i mkniesz bez końca,  
Rozkoszy bezciernej uskrzydlony gońca.

#### IV.

Tuli całego ciebie  
Zachód bladoczerwony,  
Jak w dniu gwiazda na niebie,  
Tak oczomś mym stracony,  
A tylko ciągle słyszę twe radosne tony.

#### V.

Radosne przenikliwie,  
Jak srebrnej kuli strzały,

Gdy w jasnym dnia przedziwie  
Swe żary gdzieś podziały:  
Nie widzieć, tylko odczuć można blask ich cały.

VI.

Pelne są twojej mocy  
I ziemia i przestworza:  
Tak księżyc wstaje w nocy  
Z jedynej chmurki łożą  
I wnet zalewa niebo jego światłość hoża.

VII.

Któz ci dorównać zdola?  
Kim jesteś ty, niewiada:  
Z jasnych obłoków czoła  
Taki o! blask nie pada  
Jak pieśni twej promienna, dźwięcząca kaskada.

VIII.

Jak dusza ty pieśniarza,  
Co, w myśli tonąc fali,  
Swobodne hymny stwarza,  
Aż świat się w swej oddali  
I trwogą i nadzieję nieznaną rozpali:

IX.

Jak z pałacowej wieży  
Nucąca pieśń królewna —  
Miłość w jej sercu leży,  
Tęsknica trapi rzewna:  
Jest słodka, by kochanie, ta jej harfa śpiewna:

X.

Jesteś jak żuczek skrawy,  
Co w rośnej lśniąc dolinie,  
Śród kwiatów i śród trawy  
Kryje swój blask w gęstwinie  
I potem gdzieś z przed oczu od razu nam ginie:

XI.

Lub jak pąkówka róży,  
Z której się kwiat wyłoni,  
Kiedy ją słodko znuży  
Wiew ciepły w swej pogoni,  
Ażeby go poila miodami swej woni.

XII.

Wiosennych deszczów dźwięki  
Na rozszumiałym łanie,  
Kwiat rosą złany miękki —  
Nic się już nie ostanie  
Przy tobie, tak jest wdzięczne twe słodkie śpiewanie.

XIII.

Ptaku czy duchu z nieba,  
Ucz-że nas w swej godzinie,  
Jak o miłości trzeba  
Nucić nam i o winie —  
Ja-ć pieśni równie boskiej nie słyszałem ninie.

XIV.

Czem triumfalne chóry,  
Weselne czem hejnały,  
Kiedy się pnie do góry

Twój boski hymn wspaniały —  
Czujemy, że w ich dźwięki braki się wmieszaly.

XV.

Przy pieśni twoich kryształe  
Czem źródłisk są odgłosy?  
Czem pola są, czem fale,  
Czem góry, czem niebiosy?  
Czem miłość jest przy twojej? Czem bolesne ciosy?

XVI.

Wesołość twoich pieni  
Nie znuży tu nikogo;  
Słuchamy niezmęczeni,  
Gdy śpiewasz nam tak błogo;  
Znasz miłość, lecz nie miłość, co nas dręczy srogo.

XVII.

Na jawie albo we śnie  
Znasz sens głębiej odczuty,  
Niżli śmiertelnych pieśnie,  
Czem śmierci ton jest luty,  
Że falą niezmaconą płyną twoje nuty?

XVIII.

Troszczymy się zbyt wiele,  
Co było, co nas czeka;  
Ból mąci nam wesele,  
Najszczerszą radość czeka,  
Pieśń naszą najdźwięczniejszą troska mgłą powleka.

XIX.

Gdybyśmy się umieli  
Zawiści zbyć i trwogi,

I gdyby nam pościeli  
Zdrój leż nie zlewał mnogi,  
Dosięgaćby pieśń nasza radosnej drogi?

XX.

Żadne tu inne miary  
Twej sztuki nie oniemią:  
Niżli mądrości czary,  
Co w ludzkich księgach drzemią,  
Jest lepsza twa poezja, ty, co gardzisz ziemią.

XXI.

Naucz mnie choć przez poły  
Wyśpiewać na tej glebie  
Taki sam hymn wesoły,  
Jako ten twój na niebie,  
A świat mnie będzie słuchał, jak ja słucham ciebie.

OBŁOK.

I.

Świeży deszcz dokola  
Na spragnione zioła  
Zabieram morzu i rzecze;  
Mam też chłodne cienie  
Na liści znużenie,  
Drzemiących w południa spiece.  
Na skrzydlach swych niosę  
I otrząsam rosę  
Dla pączków tych bez końca,  
Gdy kaźden z nich leży  
Na łonie macierzy  
Tańczącej wokół słońca.

Mam też gradu bicze  
Na łańów oblicze  
I smagam je w zawięję  
I potem znów jeszcze  
Przemieniony w deszcze,  
Śmiechem się grzmotu śmieję.

II.

Na góρ strome brzegi  
Przesypuję śniegi,  
Że ledwie dyszą smreki;  
Białe mam posłanie,  
W noc kładę się na nie,  
Nie szcędzi mi wichr opieki.  
A w zamku mym w górze,  
Na powietrznym murze  
Mój pilot, błyskawica,  
Zasię grzmot w swej kaźni  
Zżyma się i drażni,  
Przesrogie marszczy lica!  
Nad ziemie i morza  
Wiedzie mnie w przestworza.  
Mój pilot coraz dalej:  
Bodźcem jego ruchów  
Ukochanie duchów,  
Żyjących w morskiej fali.  
Nad wierchy i turnie  
Unosi się górnje,  
Nad doły i nad łańy,  
Nad rzeki, nad lasy,  
Gdzie mniema, w te czasy  
Duch mieszka ukochany.  
A ja się w tą chwilę

Z nieb uśmiechem milę,  
Aż spadną deszczu piany.

III.

A gdy Wschodu pora  
Z okiem meteora  
Roztoczy skrzydła skrawe,  
On mi wskoczy właśnie,  
Kiedy jutrzna gaśnie,  
Na mą płynącą nawę.  
Jak na karku góry,  
Którą wstrząs ponury  
Wprawia trzęsienie ziemi,  
Orzeł czasem spocznie,  
Świecący widocznie  
Skrzydłami złocistemi,  
Kiedy zachód z łoża  
Plonącego morza  
Ciszą, miłością zionie,  
Gdy wieczornej pory  
Posępne bisiory  
Pokryja niebos tonie,  
I ja w tą godzinę  
Skrzydła swoje zwinę,  
Do snu, jak gołęb, się skłonię.

IV.

Ta srebrzystolica  
Przestworów dziewczyna —  
Miesiącem ją zwą na ziemi —  
Polyskując, sunie  
Po mem wiotkiem runie,  
Powiewy wzdętem nocnemi.

A gdzie, mknąc swą drogą,  
Lekką tknie się nogą,  
Znaną li przez anioły,  
Płocien w mym namiocie,  
Od razu gwiazd krocie,  
Jak złotoskrzydłe pszczoły,  
Z chciwością niezwłoczną  
Zaglądać rozpoczna  
Do rozwiewnego środka:  
I mnie z tej uciechy  
Wdzięczne schwycą śmiechy,  
Porwie się przedza wiotka.  
I w krąg świat daleki,  
Jeziora i rzeki,  
Jak gdyby snać przezemnie  
Rzuciły niebiosy,  
Tak im srebrnowłosy  
Książyc rozprasza ciemnie.

V.

Ja złotem tron słońca  
Pokrywam bez końca,  
Książyc perlami stroję,  
Pod moją rozwieją  
Wulkany ciemnieją,  
Drzą gwiazdy na hasła moje.  
Śle wicher swe chłosty,  
Szerokie wnet mosty  
Tamę ponad głębiami,  
Słoneczne promienie  
Zamieniam w sklepienie,  
Turnice ich słupami.  
Triumfalnym łukiem,

Poprzez który z hukiem  
Toczy się ma potęga  
Gdy przestworów moce  
Rydwan mój druzgoce,  
Tęczy stubarwna wstęga.  
I ziemia się śmieje,  
Gdy słońce w zawieję  
Po blaski swe znów sięga.

VI.

Rodzicami memi  
Morze i krąg ziemi,  
Pokarm mam powietrzny,  
Wnikam w moim biegu  
Do morza i brzegu,  
Zmienny, ale wieczny:  
Bo jakkolwiek mamy  
Niebiosa bez plamy  
Kiedy deszcz już nie rosi,  
Choć wiatru robota  
I słońca dłoń złota  
Pałac błękitny wznoси,  
Ja spoczywam sobie  
Z uśmiechem w mym grobie  
I rwę się z swego schowu,  
Jak dzieciątko z łona,  
Jak dusza więziona,  
I niszczę grób swój znowu.

ARETUZA.

Aretuza z łoża  
Śniegu mknie do morza  
Przez Akrokeraunji stoki.

Przez chmury, urwiska,  
Przez złomy się ciska,  
Wypasa swe owce-potoki.  
Przez turnie, przełęcze  
Mknąć, włosów swych tęcze  
W strumienne zanurza tonie.  
Gdzie suną się jej nogi,  
Zielenią rozłogi  
W zachodniej się błyszczą stronie.  
Tak skacze, tak rwie się,  
Tak szумy swe niesie,  
Łagodne, jak cenne westchnienia;  
Niebo się uśmiecha,  
Ziemi niepociecha,  
Gdy w fale się morskie rozpienia.

Wtem Alfeus młody  
Rzuca swoje lody,  
Trójzębem rozbija skały,  
Tak wymierza razy,  
Aż pękają głazy,  
Aż drży Erymant cały,  
A wiatr południowy  
Chowa się w parowy  
Gdzieś poza urny śniegu.  
Trzęsienia i grzmoty  
Skalne łamią ploty,  
Co fale tamują w biegu.  
Poprzez rwącą wodę  
Widać włos i brodę:  
Strumieni bóg nimfę goni,  
Chce ją dopaść z góry,

Nim przez skalne mury  
W doryckie się gubi toni.

„Ratuj, wiedź mnie, boże,  
Ukryj mnie w swe morze,  
On mnie za włosy już bierze!“  
I Ocean słyszy,  
Błękitami dyszy,  
Błagania jej spełnia szczerze.  
Z prośbami temi  
Biała córka ziemi  
Za jego się topi wolą.  
Za nią mkną jej fale,  
Nie łącząc się wcale  
Z doryckich głębin solą.  
Plamka na zwierciadle  
Błękitów, zajadle  
Alfeus ją goni szalony:  
Tak orzeł wśród burzy  
Ścigać się nie nuży  
Gołębia wskroś chmurne przesłony.

Popod sklepioniami,  
Gdzie bogowie sami  
W perlach zasiedli na tronie,  
Przez gaje korali,  
Gdzie bezlik opali  
Najkosztowniejszych płonie;  
Pośród blasków zorzy,  
Co z falami tworzy  
Świąteł przebarwne sieci;  
Popod ciemne groty,

Gdzie wód połysk złoty  
Jak zieleń lasów się świeci;  
Przez szumne głębiny,  
Szybciej niż delfiny,  
Przez ląd, w urwiska żyzny,  
Przez góry ucieka  
Za rzeką ta rzeka  
Do swej doryckiej ojczyzny.

Teraz z wierzchów Enny  
Rwie się prąd ich zmienny  
W splonione rankiem padły;  
Jak przyjaciół dwoje,  
Złączone znów zdroje  
Rozhowor wiodą wesoły;  
Skoro słońce wstanie,  
Rzucają posłanie  
W skalnym, spadzistym parowie  
I pędzą w południe  
Lasem, gdzie lśni cudnie  
Złotogłów przy złotogłówie.  
Zasię w nocne mrocznie  
Kaźde z nich wypocznie  
U Ortygijskich wybrzeży.  
I tutaj, w skon głuchy  
Pogräzone duchy,  
Ta para kochanków leży.

### MIMOZA.

#### Część pierwsza

Mimoza, kwiat czuły, w ogrodzie patrz! rośnie,  
Rosami przez powiew karmiona miłośnie,

Ku światłu otwiera swych liści wachlarze,  
A zaś się przed nocą zamykać im każe.

I ponad ogrodem w krag wiosna powstaje,  
Miłości duch luby roztačza swe raje,  
I z ziemi się łona z zimowych snów zrywa  
Wszelaki kwiat młody i trawa już żywa.

Lecz niema rośliny, co rośnie, jak łania,  
W południe słodkiego spragniona kochania,  
Drżałaby w ogrodzie, na polu, na łące,  
Jak czułe to kwiecie, samotnie rosnące.

Fijołki i śnieżki powstają ze ziemi,  
Gdy pierwszy deszcz zrosi kroplami je swemi,  
A dech ich się miesz za zapachem, co, świeży,  
Jak słodka muzyka, od łąk ku nam bieży.

A potem tulipan i z nim anemony  
I narcyz, urodą największą darzony:  
Przygląda się w zdroju, zatopion w swe oczy,  
I ginie z podziwu, że tak jest uroczy.

A potem konwalja, prawdziwa Najada,  
Młodością tak piękna, a żądzą tak blada,  
Jasnością swych dzwonków rozchwianych się mieni  
Śród liści namiotów o słodkiej zieleni.

Hiacynt różowy, błękitny i biały,  
Co swemi dzwonkami wydzwania hejnały,  
Tak cudnie dźwięczące, że zmysły nam woni  
Odurza falami, gdy mile tak dzwoni.

I róża-rusałka wciąż, kąpać gotowa  
Swe kształty, swej piersi płonącej nie chowa,  
Odsłania ją ciągle, aż wiewom się poda  
I cała jej miłość i cała uroda.

I lilja-menada podnosi kielichy —  
W kolory je stroi księżyca blask cichy —,  
Aż poprzez mgły lśniące, ku niebu, wysoko,  
Wystrzeli jej gwiazda, płonące jej oko.

I jaśmin przewałty i kwiat tuberozy,  
Najpierwszy swą wonią, i wszelkie obozy,  
Przeróżnych się roślin — najrzadsze wręcz zioła —  
W tym oto ogrodzie rozsiadły dokola.

A zasię na rzeki falistem tem łonie,  
Co w blasków zielonych i złotych koronie  
Lśni, błyszczы pod gęstwią splatanych gałęzi,  
Przez które się niebo wyrywa z uwiezioni —

Nenufar rozkłada szerokie swe liście,  
Pękowią się jego promienią gwiaździście,  
A wokół łagodne kołyszą się fale,  
Przesłodko się mieniąc i szumiąc wspaniale.

A węże ścieżynek, mchą kryte i trawą,  
To w lewą przez ogród wiodąc, to w prawą,  
Otwarte są, jedne na słońca i wiewy,  
A drugie pod drzewa się tulą i krzewy.

A z nich się wychyla tłum jaskrów, stokroci,  
A każdy, jak z bajki złotoglów się złoci,

I drobne kwiatuszki, błękitne, różowe  
I białe, podnoszą o zmroku swą głowę,  
By żuczek od rosły miał schrony gotowe.

A jak się dziecina z budzącem się okiem  
Uśmiecha do matki, co wprzody urokiem  
Swej pieśni do snu ją tulła, a potem  
Musiała obudzić, tak kwiaty, przelotem

Niebiańskich powieów w swym Raju zbudzone,  
Klejnoty, światkiem górnika rozśnione,  
Do nieba się śmieją, a każdy się słońca  
Mackami jasnemi upaja bez końca.

Albowiem z nich każdym szczęśliwość owłada,  
Że chłoną i światło i zapach sasiada:  
Jak młodym kochankom czas życie umila,  
Gdy wspólnej miłości upływa im chwila.

Atoli mimoza, co mało li może  
Z swej zwrócić miłości, aż w każdym jej porze  
Odczuwa głęboko, dostaje snać więcej,  
Niż ten, co ją kocha od ognia goręcej.

Mimoza nie płonie, jak inne lśni ziele  
Zapachu i blasku wszak nie ma w udziele,  
Miłuje, jak miłość: jej dusza, tak żywa  
Pragnieniem miłości li za nią się zrywa.

Tych lekkich powieów gromada szepcząca,  
Co nutę niejedną ze skrzydeł swych strąca;

Nie jeden ten promień, co z kwiatów wychyla  
I zapach ich gwiazdek naokół rozdziela;

Skrzydlate owady, co mkną, jak okrąty  
Złociste, przez słońca łyskliwe odmęty,  
Z ładunkiem jasności i woni płynace  
Po żywej zieleni, po lniastej tej łące;

Nie jedne mgieł chmurki, co w kwiatów koronie  
Jak ogień się błyszczą, nim słońce zaplonie  
I potem po sferach obłocznych się gonią,  
By każdy obłoczek napełnić swą wonią;

Rozdrągane wyziewy, w słoneczne południe  
Po ciepłej tej ziemi wijące się cudnie,  
Po której dźwięk każdy i dźwięk się rozszerza  
Z poszumem rokicin, co drżą u wybrzeża:

To wszystko anielską li służbę stanowi,  
Ażeby nieść radość Mimozy kwiatowi,  
Tymczasem leniwie dnia chwile się włoką,  
Podobne bezwietrznym na niebie obłokom.

A wieczór, gdy z nieba opadał z swym znojem,  
By w krag był miłośią, a ziemia spokojem,  
Gdy rozkosz w mniej jasną, lecz głębszą się zmienia,  
A słońce snu światom użyczy już cienia;

Gdy tuli się ptactwo i owad i zwierzę,  
By w snu Oceanie spokojne mieć leże,  
W tem morzu, co nigdy swych fal nie ustali,  
Jakkolwiek zostawia świadomość swej fali,

(Słyszałeś jedynie głos miły słowika,  
Śpiew coraz to milszy, gdy słońce zanika,  
Śpiew rajski, co ze snem Mimozy swe tony  
Zespala w dźwięk jeden, uroczy, wyśniony):

Mimoza się kładzie najpierwsza w tej porze,  
Na łonie spokoju, do snu ma swe łóże;  
Strudzone rozkoszą nadobne to dziecię,  
Najślodsze ze wszystkich, najmilsze jest przecież  
Tej chwili, gdy noc ja w uściski swe wplecie.

### Część druga

W tem miejscu uroczejem potęga się chowa,  
Jak Ewa wśród Raju: Władczyni-Królowa,  
Dla kwiatów tem była, czem Stwórcą na niebie  
Dla gwiazd, których rzeszę ma wciąż koło siebie.

Cud w swoim rodzaju, szlachetna to pani:  
Nikt pięknych jej kształtów i duszy nie zgani,  
Tak łączy je z sobą; w swych ruchach i minie,  
Prawdziwie, jak kwiecie na morskiej głębinie.

Pilnuje ogrodu i w dnie i wieczory,  
Zaś popod miesięcznych tych nieb meteory  
Witają jej kroki uśmiechem, migocą  
Jak światła nieb zornych, gdy staną przed nocą.

Nie miała tu nigdy ziemskego kompana,  
Lecz oddech jej drżący, rumieńcem twarz zlana,  
Świadczyły, gdy ranek spił sen z jej powieki,  
Że Raj to był raczej, niż sen, snom daleki.

Snąć dla niej duch jakiś nadobny i miły,  
Zszedł z nieba, gdy gwiazdy się ze snu zbudziły;  
Onać jeszcze jest przy niej, jakkolwiek gó żywa  
Promienność słoneczna już przed nią zakrywa.

Chcąc trawy nie skrzywdzić, chodziła z ostrożna;  
Jej pierś się podnosi, więc słyszeć by można,  
Jak powiew, co lekko owiewa jej lice,  
Przynosi jej rozkosz, zostawia tęsknicę.

Gdzie tylko się tknęła stopami lekkiemi,  
Jej włos powłoczyny wnet zmiałał ze ziemi  
Trawiastej jej ślady, rozwiewne, jak cienie:  
Tak słońce wygładza fal morskich strumienie.

W ogrodzie tym kwiaty, ja wierzę w to święcie,  
Cieszyło ogromnie to stóp jej dotknięcie,  
Jak gdyby duch jakiś, z jej palców idący,  
Przenikał ich kształty, promienny, gorący.

I wodę ze zdroju prawicą swą zrzędzą  
Rozkrapla na kwiat, gdy w słońcu już wieńdą;  
Z kielichów ich strąsa te deszczu brzemiona  
Gdy burza nadeszła, gromami pędzona.

Podnosi ich główkii ta ręka jej szczerą,  
Łoziną, gdy trzeba, i prętem podpiera;  
Nie mógłaby lepiej pilnować swych dziatek —  
Snąć dzieckiem jej własiem jest każdy ten kwiatek.

Robactwo żarłoczne, zabójcze owady,  
To wszystko, co brzydkie i wstrętne bez rady,

W indyjskim koszyku z ogrodu precz niesie  
I w dzikim, dalekim porzuci je lesie.

W koszyku, gdzie trawy i polne są zioła,  
Na jakie się zdobyć jej ręka wydola:  
O biednych wygnańców jej serce ją boli,  
Co grzeszą, lecz grzeszą przeciwko swej woli.

A pszczółka i ona błyszcząca się jątka,  
Jak droga błyskawic, w swym locie tak prędką,  
I éma, co niewinnie ziół wargą się dzieli,  
To służba jej cała, jej konwój aniel.

Niejedną mogiłę barwnego motyla,  
Skąd owad ten z snu się do życia wychyla,  
Zostawia w spokoju: na cedru tej korze  
Przewonnej, a gładkiej zaczepiać się może.

Aż w późne dni lata od wczesnych dni wiosny  
Spełniała w ogrodzie swój obrzęd miłosny;  
Lecz zanim liść pierwszy poczerniał w swej krasie,  
Już piękna dziewczyna nie żyła w tym czasie.

### Część trzecia

Trzy dni były kwiaty w tym rajskim ogrodzie  
Jak gwiazdy, gdy księżyc się budzi, lub wodzie  
Podobne bajońskie, nim głęb swą rozrusza,  
By lśniła falami przez dym Wezuwiusza.

A zasię w dniu czwartym uczuła Mimoza,  
Jak śpiewów pogrzebowych zbliżała się groza:

I marsz miosących słyszała już kroki  
I szloch żałobników i jęk ich głęboki.

Posępne melodje i westchnień ton głuchy  
I śmierć ta, sunąca powoli, jak duchy,  
I woń przejmująca, tak chłodna i śliska,  
Co szpar się trumiennych w tej drodze przeciska;

Ta trawa ściemniała i kwiaty wśród trawy  
Zaczęły łyzy ronić, gdy orszak szedł łyzawy,  
Wiatr kładł im w te tropy ich szelest żałosny  
I poniósł, by mogły zaszumieć nim sosny.

I ogród tak piękny niedawno, umiera,  
Jak ciało tej, która, nadobna i szczerza,  
W nim duszą tu była. I wprzód, by kwiat świeży,  
Leżała, jak we śnie, a teraz tak leży,  
Że nawet najtwardszy już leż nie zdzierzy.

I lato uciekło w objęcia jesieni  
I w mgłach porankowych przymrozek się mieni,  
Choć słońce południa w promiennej swej mocy  
Drwi sobie z zdobyczy podstępnej tej nocy.

I róży listeczki, jak śnieg czerwonawy,  
Na mchy się purpurą pokładają, na trawy;  
Lilje powiedły, straciły swe znicze,  
Pobladły, jak człeka zmarłego oblicze.

Rośliny indyjskie, w swej barwie i woni  
Najsłodsze ze wszystkich wśród ziemskich tych błoni,  
Dzień po dniu ginęły; dla wspólnej mogiły  
Swój listek po listku co chwila traciły.

Liść szary, czerwony, brązowy i złoty  
I biały, jak białość umarłej istoty,  
Podobien jest duchów zastępom i góra  
Przeraża ptaszęta, mknące z suchą wichurą.

I burza skrzydlate rozbudza nasiona  
Z kolebki ich życia — wśród chwastów jest ona —,  
A te nie jednego imają się zioła,  
Ażebyle już wspólnie gnić w ziemi dokoła.

Te wodne lilje na falach potoku  
Z łydyżek swe kwiecie strącają co kroku,  
A wir je roznosi, bawiący się niemi,  
Jak wicher to czyni w powietrzu z innemi.

I potem deszcz przeszedł ze swoją zawieją:  
Łodyżki stargane pognały aleją,  
Bezlistne altany, już dziś pasożyty,  
Straciły wraz z kwiaty lubemi swe byty.

Pomiędzy wichurą a śnieżną kurniąwą  
Niejeden chwast szpetną zaczyna rość ławą,  
O liściach plamistych — obrzydłe to plamy,  
Na grzbietach my węzłów i ropuch je mamy.

I osty, pokrzywy, blekoty, cykuta —  
Ta cała złych chwastów czereda zatruta —  
Poczęły swe puste podnosić piszczele  
I trupie zapachy rozszerzać prześmiele.

Rośliny, o których pieśń mówi ze wstrętem,  
Rozlazły się cielskiem potwornem, pomiętem:

Kolczaste, mięsiste, nabrzmałe i sine  
O cieczy ohydnej pokryły równinę.

I bedłki i grzyby, w śnieć hojne i pleśnie,  
Ze ziemi jak męty się podnoszą obleśnie,  
Wybladłe, mięsiste, jak gdyby umarli  
Powstali z swych grobów i w życie się wdarli.

Rzeżucha i ikra, wypyski i trądy  
Zgęsłyli potoczek, wstrzymały fal prądy,  
A zasię przy ujściu z korzeni rogozy,  
Skłębionych jak węże, zapora się tworzy.

Co chwila, gdy cisza ogarnia okręgi,  
Wyziewów się wznoszą zabójcze potęgi;  
Porankiem je widzisz, odczuwasz z południa,  
A nocą mgła gwiazdom ich jasność utrudnia.

A błędne ogniki, w słonecznej osłonie  
Nie widne dla oczu po martwym zagonie  
Pełzają i krążą, a gdzie-li wypoczną,  
Ich jad żre galęzie, śmierć niesie bezzwłoczną.

Jak biedna wygnanka, łzy roni Mimoza,  
A w fałdach jej listków wszelaka jej słoza  
Od razu, by niszczyć tę resztę ogrodu,  
Przemienia się dla niej w zabójczą śnieć lodu.

I lilje opadły, i ostrym toporem  
Wichr pociął gałązki na zielu tem chorem,  
I sok do korzeni z żył wszystkich ucieka,  
Jak krew mnieje do serca mrącego człowieka.

Zjawiła się zima; — wicher był jej batogiem, —  
I palec do warg swych przyłoży i srogiem  
Zagarnie spojrzeniem siklawy, że one  
U pasa jej chrzesczą, w kajdany zmienione.

Jej oddech to łańcuch, co trzyma, bez brzku,  
Powietrze i ziemię i wodę w jej ręku.  
Przybyła, z Północy ją przywiózł na wozię  
Wiatr groźny, dziesięćkroć wzmożony w swej grozie.

Do śmierci już żywej podobne ziół plemię  
Przed mrozem schroniło się rychło pod ziemię.  
Ich schyłek i nagła ucieczka — w istocie  
To jakby duch jakiś w pospiesznym przelocie.

A pod korzeniami Mimozy — niestety!  
Ginęły od głodu i myszy i krety;  
I ptactwo, z mroźnego zleciawszysz ukrycia,  
Na nagich konarach zawisło bez życia.

Nasamprzód deszcz skropił obmarzłe konary,  
Ażeby je rychło w lód zmienić; opary  
Podniosły się potem i razem z tym deszczem  
Wnet w zlodowaceniu się łączy złowieszcze.

A wicher północnych potęga zdradziecka,  
Jak wilk, który węszy w pobliżu imać dziecka,  
Ku drzewom się skrada i z dołu i z góry  
Otrząsa je z lodu mroźnemi pazury.

Gdy zima minęła, wróciła zaś wiosna,  
Mimoza już tylko ruina żałosna,

Zaś pokrzyk i blekot, trucizną opily,  
Powstały, jak trupy, z zburzonej mogiły.

#### Zakończenie

Zali Mimoza, czy to, co plonie,  
Niby duch jaki, w jej listków łonie,  
Nim śmierć je swoim spali żarzeniem,  
Czuje tą zmianę, ja tego nie wiem.

Albo czy Pani szlachetnej dusza,  
Gdy się już w ciele swem nie porusza,  
Ona, co była miłością całą,  
Zeszła się z smutkiem, gdzie radość siała,

Nie śmiem powiedzieć. Lecz na tym świecie,  
Gdzie li bój, tępość i błąd znajdziecie,  
Gdzie wszystko tylko czczym jest pozorem,  
A my snu cieniem, w tem życiu chorem

Pociechą będzie mieć skromną wiarę,  
Że wszystko czczą nam przedstawia marę,  
Że i śmierć będzie dla nas tem samem,  
Co wszystko inne: pustym omamem.

Ten opór cudny, ta białogłowa,  
Woń, która tyle słodyczy chowa,  
W rzeczywistości nigdy nie giną,  
My tylko inni każdą godziną.

Rozkosz i piękność i miłość szczerą  
Ani się zmienia ani umiera;

Nam niedostępna dotąd ich siła,  
Bo światłość jeszcze w nas nie wstąpiła.

#### WIDZENIE NA MORZU.

To groza nawalnicy. Zmięte żagli płotna  
Na drobne zdarła strzępy ta burza okrutna.  
Z wyziewów ciemnej nocy puściły się deszcze,  
A kiedy potop łykami odezwał się jeszcze  
Od nieba, tak w te tropę czarne trąby wody  
Podnoszą się i łamią swe olbrzymie kłody,  
Jak gdyby ogrom niebios, ich słupy straszniemi  
Trzymany, miał się zapaść z sobą i niemi  
Zgnieść morze: i z trzęsieniem i ogromnym grzmotem  
W swój grób się zapadają, ale rychło potem  
I gromy i bałwany umilkną, jedynie  
Ich echo, wiatr, zostaje. Teraz okręt płynie  
Na strzępach zdartej burzy, ażeby u góry  
Pogrążyć się w przesłonach gromonośnej chmury.  
A teraz, niesion falą, którą na kawały  
Wichr stargał, mknie i głębiej zapada się cały.  
A ściany falującej doliny, straszliwie  
Spokojnej w swoich głębiach, że wiatr, na tej niwie  
Szalejąc, jej nie wzruszy, są jako zwierciadła  
Zniszczenia, zawieszone ponad nią. A zsiadła  
Tymczasem piana morska, zmarłych ogní droga,  
Lub chaos gwiazd lub rzeka płomieniście sroga  
Żelaza topionego, jasnością okala  
I grozą ciemny okręt; albo niby fala  
Siarczanych, bladych ogní, chlusta nań swym żarem.  
Bałwanów piramidy, na czubach bezmiarem  
Śnieżystych pian obsiane, lśnią się, jakby chciały  
Łyskaniem od nieb odciąć morza gmach wspaniały.

Snąć okręt się rozbije! Tak, jak drzewo, pęka,  
Gdy korzeń jego zetrze straszną wstrząśnię reką,  
Nim jeszcze podmuch wiatru połamie gałęzie.  
Potężny grom, stargawczy górą swe uwięzie,  
Potrzaskał maszt, że sterczy czarny, połamany.  
Zniszczenie chloną szpary; przez zbitę bałwany  
Żywego morza kadłub umarły się toczy:  
Jest jak ów trup wśród piasku, który chce mu oczy  
Coprzedzej wyzreć do cna. Tymczasem w odmętu  
Naporze rozszalonym pękło dno okrętu:  
Tak pęka lód, gdy powiew nad wodą pustyni  
Zawieje w czas roztopów... A cóż tam się czyni?!

Czyż to pod przednim masztem, jak zmarłych gromada,  
Co padli na wyłomie, z załogi się składa?  
Tygrysy dwa, co w chwili, gdy je przestrach głuchy  
Ogarnął, z przerażenia porwały łańcuchy,  
(Co teraz przytacz, dodało im siły),  
Tak oto obok siebie w kabłak się skuliły  
I ostrzem swych pazurów wpijają się w ściany  
Okrętu rozbitego... To wszystko?

#### Strzaskany

Zrąb statku na tej morza spokojnej przestrzeni  
Przez dziewięć stał tygodni na miejscu bez cieni,  
Gdzie słońca żar uśmierca, gdzie światłość miesiąca  
Wydaje się jak gdyby płomiennogorąca.  
A wtem się mgła podniosła o barwie ołowiu,  
Zaraz oddychając; i na tem pustkowiu,  
Do statku, stojącego z załogą wśród morza  
Sen zimny się przyczołgał, jak śnieć na łan zboża.  
Zaś rano i wieczorem chowają żeglarze  
Kamratów swoich trupy w hamaki i w darze  
Rekinom je rzucają, a te, trumny lniane

Na strzępy rozerwawszy, chloną je, jak mannę  
Chlonęli ongi żydzi, którą Bóg im z nieba  
Zesyłał na pustyni. Widzieć było trzeba,  
Jak jeden marł po drugim. Wieczornej godziny  
Gdy burza się ściągnęła w jeden obłok siny,  
Zostało tylko siedmiu. Potem sześciu gromy  
Zabilły i tak leżą, jak mumje: widomy  
Znak Czas na nich zostawił, balsamiarz zażarty.  
A zasię jakiś odłam siódmemu z tej warty  
Przez pierś przeszedł i plecy, że, ofiara burzy,  
Rozbitek rozbitekowi jako przykład służy.

Nic więcej? Nie! Piękniejsza, niżeli niebiosy,  
Gdy te swoje gwiazdzie rozwiewają włosy,  
By niemi pokryć słońce i ziemię i morze,  
Niewiasta jakaś siedzi przy sterze i hoże  
Dzieciątko na skulonych swych kolanaach trzyma,  
A to uśmiechniętemi spogląda oczyma.  
Nie troszcząc się o gromy ni o błyskawice,  
Huk morza i powietrza, zwraca jasne lice  
Ku owym dwom tygrysom, pragnąc, aby one  
Zbliżyły się ku niemu. W ich ślepią wpatrzonie,  
Gdzie przebłysk strasznej trwogi gasi meteory,  
Chce z niemi się pobawić; serce mu tej pory  
Radością wielką bije, a ta mu roznieca  
Żrenice, zasię matka przygasła, jak świeca.  
O nie śmiej się, me dziecię! Niech twoja powieka  
Do snu na ból się zamknie, który ciebie czeka,  
Straszliwy, bo go dzielić musimy oboje!  
Śpij, śpij, ty ma dziecino! Czyż cię łono moje,  
Kolebka twa i łoże, w sen nie ukolebie?  
Okrutnie ono bije, gdy patrzę na ciebie!  
Ach! czem jest śmierć, czem życie, czem człowiek jest ninie,

Gdy ginąć musim z chwilą, kiedy okręt ginie?  
Nie widzieć cię już więcej i nie czuć? O Boże!  
Być tem po naszem życiu, czem byliśmy w porze  
Przed życiem? Nie dotykać się twoich rąk, w twe oczy  
Nie patrzeć, na te wargi, włosy, strój uroczy,  
Kryjący cię, mój duchu, którego dni tyle  
Mem dzieckiem nażywałam, a które w tą chwilę  
Jak jasna gaśnie tęcza, gdy ja, by deszcz jaki  
Opadam?!

Patrz! Snać okręt zatacza zyzaki,  
Snać chwieje się, przez boków szczeliny i rysy  
Wciszą się strumienie; skoczyły tygrysy,  
Ujrzawszy, jak się ku nim cal po calu wciska  
Słona woda, ich cielskom coraz bardziej bliska.  
Włosy im stają dębem, członki, oczy, uszy,  
Martwieją z przerażenia; wtem, widać, przygłuszy  
Huki gromów ryk głośny, przeciągły, chrapliwy,  
Rwący się z ich wnętrzości, rzuca się na niwy  
Fal morskich, na ich wierchy i żleby i groty  
I echa swe rozlewa, huczące, jak grzmoty,  
I w deszczu sieczącego strumieniach je nurza,  
Gdy ku nim je zapędza rozszalała burza.  
Przedarł się ten huragan od zachodu końca  
I przekroczywszy bramy wschodzącego słońca,  
Rozdziela dzikich prądów ponure potęgi:  
Tak wąż, goniący słonia, swojemi się kręgi  
Przeciska poprzez gąsceze. Jak ocean wrzący,  
Przewala się ten orkan, okrutnie warczący,  
Miedzy niebem a ziemią i tak się wciąż toczy,  
Aż dotrze do obłoków gdzieś na świata zboczy  
Co, wsparty, jak na słupach, na morzu i niebie,  
Podpiera kościół burzy. Lecz orkan w potrzebie

Szaleństwa je rozstrzaskał, tak, jak groźna fala  
Zapory ścian górzystych roztrąca, rozpala.  
Obłoki się podarły w strzępy i łachmany,  
Rozpadły się, jak głazy światynne i ściany,  
Waląc się, gdy ziemi przechodzą trzęsienia,  
A szczyty ich kamienne wicher w kurz zamienia,  
Rozwiąły się jak piana potoków. A tedy,  
Gdzie przez rozdarłe strzępy przedarły się pędy  
Wichury, blask się wcisnął od plomiennej strony  
Powstającego słońca, jasny, wyzlocony.  
I rychło cała armja, blaski i powietrze,  
W obłoków wtargnie wnętrze i ciemność ich przetrze.  
U jednej zgromadziwszy się bramy, do środka  
Dostaje się już razem blasków armja wiotka.  
Co raz to obszerniejsze ma orkan wyłomy,  
Co raz to bardziej chmury rozpędza widomy  
Poranek, wichry skrzydła opuszczają swoje,  
Tak poszum fal je w senne kołyszą ukoje.  
A wielkie, szklane morskich bałwanów wzdęcie  
I góry te wspaniałe, lecz straszne zawzięcie  
Pozostałości burzy, jak złota wyziewy  
Pochłania wciąż wschód słońca. Morskich fal rozlewły  
Dziwią się ciszy niebios, rozpiętych nad niemi;  
I, jak się uspokaja namiętność, przed swemi  
Oczami widząc miłość, tak one ich lice  
Odzwierciedlają z drżeniem. Od And po granice  
Atlasu rozlewa się, śmiejąc się lazurem  
Niebiosów świat fal morskich, ogarnia swym murem  
Swe mewy i rozbite okręty.

Gdzie statek?  
Na fal tej krawędzi, gdzie stał jego statek  
Ostatni raz, w tej chwili tygrys zadyszany

Bój toczy z wężem morskim. Przez dymy i piany  
Groźnego boju słońce przeciska swe strzały.  
I kości zachrzęscily, strasznie zatreszczały  
W uściskach stwardniałego, jak dżament, węża.  
Krew szumi, chlustająca, jak rozlewne deszcze,  
Z żył, walką i wściekłością nabrzmiały, złowieszcze  
Pazury gdy w nie tygrys zaryje. I wszczyna  
Chrzęst straszny się i łomot, jak gdyby maszyna  
Okrutnie żelaznemi jęła szarpać zęby  
Lagodny wichr i fali spokojne już kłęby  
I zmieniać je na grzmoty! I syki i świsty  
I charki rozpełzły się na ocean lśniasty,  
Jak gdyby roje stonóg. A gdzie bój się zdwaja,  
Na morzu się błękitnem ukazała traja  
Błękitna, dla zwycięzcy mogiła. Chcąc brata  
Ujście losu, tygrys drugi — rozpacz nim pomiata —  
Pospiesza naprzeciwko swemu. Co się darzy:  
Łódź zbliża się! Dwunastu pędzi ją wioślarzy  
Z szybkością lotnych myśli po słonej topieli.

Na przedzie trzej myśliwi miejsca swe zajęli:  
W tygrysa piersi utkną trzy ogniste kule,  
Ratunku każąc szukać i śmierci... w kopule  
Powietrznej sterczą jeszcze ostatki okrętu,  
Kołyszą się, drżą, giną w głębinach odmetu...  
A ona lewą ręką czepia się ich ściany,  
Zaś prawą trzyma dziecko, płód swój ukochany.  
Śmierć, Trwoga, Miłość, Piękno są w tej atmosferze,  
Pochłaniają ich ogień, za rękę ją bierze,  
Ogarnia głowę, oczy, jak meteor skrawy,  
Świecący nad wodami. A pełne zabawy  
Jej dziecko uśmiecha się rokrosznie i głuzy.

Tak głębia się uśmiecha przed nadejściem burzy.  
I dziecko i ocean śmieją się tej chwili,  
Jak brat się razem z siostrą swą rodzoną mili,  
Tymczasem — — —

# JOHN KEATS

## LA BELLE DAME SANS MERCY.

„Coś tak strąpiony, biedny chłystku?  
Czemu twarz twoja tak pomyta?  
Nad brzegiem rzeki zwiędły trzciny,  
Nie nucą już ptaszeta.

Coś tak strąpiony, biedny chłystku?  
Czemu tak patrzysz nieszczęśliwie?  
Pełny już spichlerz ma wiewiórka,  
Już dawno jest po żniwie.

Liliję widzę na twej skroni,  
Chorobliwego pełną potu,  
A na policzkach twoich róża  
Snąć więdnie bez powrotu.“

„Spotkałem damę na murawie,  
Obraz przepiękny, przeuroczy,  
Włos miała długi, lekkie stopy  
I wielce dzikie oczy.

Na konia-m swego ją posadził,  
Nic nie widziałem przez dzień cały  
Ona przytuli się i śpiewa  
Rusałcze mi hejnały.

Kwiatami głowę-m jej owinał,  
Na ręce dałem brązolety,  
Spojrzała na mnie snać z miłości,  
Wzdychając ach! niestety!

Zbierała dla mnie słodkie miody,  
Była korzeni moc i manna,  
I dziwnie brzmiało, gdy mówiła:  
„Miłość ma nieustanna“.

Do swej mnie grotu rusałczanej  
Przywiózlszy, westchnie przeboleśnie,  
Tu-m jej całował dzikie oczy,  
Aż się pograży we śnie.

Tutaj spaliśmy na murawie  
I tutaj miałem sen ponury,  
Ostatni sen, jaki mnie spotkał  
Na zimnych stokach góry.

Widziałem króle i księżęta,  
W śmiertelnie bladej krzyczą męce:  
„La belle Dame sans mercy  
Trzyma cię w swojej ręce“.

Widziałem usta jej rozwarte,  
A naokoło mrok przy mroku,  
A gdym się zbudził, zobaczyłem,  
Żem jest na góry stoku.

Dla tego jestem tak strąpiony,  
Dla tego twarz ma tak pomyta,

Cóż, że nad rzeką zwiędły trzciny  
I zmilkły już ptaszeta!

## Z SONETÓW.

### I.

#### KTO NAZBYT DŁUGO W MIEŚCIE BYŁ WIEZIONY

Kto nazbyt długo w mieście był więziony,  
Ten w lica niebios spogląda radośnie,  
Z serca mu błoga modlitwa wyrośnie  
By iść w nadziemskie, uśmiechnięte strony.

Któż może więcej być zadowolony,  
Niż człek, co leży na trawie, miłośćnie  
Zaczytan w książce, mającej o wiośnie  
I o miłości najtęskliwsze tony.

W wieczór, wracając, słucha Filomeli  
Rozkosznej pieśni, patrzy, jak obłoki  
Płyną promienne po niebios topieli.  
Żałuje wówczas, że dzień jasnooki  
Tak szybko gaśnie, jakby łzy anielesj  
Kropla spłynęła w firmament głęboki.

### II.

#### DO SAMOTNOŚCI

O samotności! Chcąc z tobą wieść życie,  
Nie w miejskich gmachów pomieszane mury,  
Jeno, by śledzić władanie Natury,  
Szedłbym na górkim wypoczywać szczycie.

Tu stąd patrzałbym na kwietne pokrycie  
Dolin, na strumień, tryskający z góry

Fałą kryształów, i jak jeleń bury  
Wypędza pszczoły z naparstnic. W tym bycie

Choć rozmilowan, radbym przecież w twojem  
Iść towarzystwie między wielkie duchy,  
By na mądrości ich słowa nie głuchy,  
Odczuć, że oni są rozkoszy zdrojem:  
Szczęście, gdy k'tobie przepelne otuchy,  
Dwa bratnie serca spieszą ze swym znojem.

### III.

#### DO KOŚCIUSZKI

Dobry Kościuszko! Wielkie twe nazwisko  
Jest jak dojrzałe górnych uczuć żniwa;  
Przychodzi na nas, jak nadziemskie dziwa,  
Tonów sferycznych wieczyste ogniska.

Dzisiaj mi ono mówi, że siedlisko  
W nieznany świecie mając, k'nam się zrywa  
Imię herosów i, harmonja żywa,  
Dźwięczy w obłokach, srebrnych tronów blisko.

Mówi mi nadto, że szczęsnej godziny,  
Gdy jakiś dobry duch na ziemię spadnie,  
Imię twe razem z imieniem Alfreda  
I innych wojów, stworzy narodziny  
Głośnego hymnu, co się stłumić nie da,  
Brzmiąc, gdzie wszechmocny Bóg, na wieki władnie.

#### ODA DO URNY GRECKIEJ.

Niepokalana wybranko milczenia,  
Leniwej ciszy wychowanko zbożna!  
O życiu lasu mówią twoje pienia

Lepiej, niż w rymach wyrazić to można:  
Co za legendy, liściem oplecione,  
Głosisz o bóstwach i o ludziach w chłodzie  
Drzew arkadyjskich lub w Tempy dolinie!  
W jakimż to dziewczki szalonym zawodzie  
Pędzą! A owe pościgi w ich stronę,  
A te piszczalki! Bębny! Szał przy winie!

Milysłyszany hymn, a nie słyszany  
Jeszcze jest milszy, więc na swojej fletni  
Dla dusz, nie uszu cielesnych peany  
Głuche wygrywaj, takie brzmią najświętniej!  
Piękny młodzieńcze! Nie będzie skończona  
Piesią, którą milczkiem pod tem drzewem snujesz  
Nigdy nie zbliżysz się do warg, choć, zda się,  
Tak ci się blisko; lecz się nie martw: Ona  
Luboś zdaleka, nie zwiędnie w swej krasie,  
Jest bowiem piękna, a ty ją milujesz.

Szczęsne gałęzie! Liści nie stracie,  
Nigdy się bowiem nie żegnacie z wiosną!  
Szczęsny śpiewaku, bez smutku twe życie,  
Bo z fletni-ć pieśni wiecznie świeże rosną!  
Szczęsna miłości, najszczęśliwsza w świecie,  
Zawsze płomienna, zawsze pożądana,  
Wieczyście młoda, wieczyście teskniąca!  
Naszą namiętność ludzką życie zgniecie,  
I w sercu krewawa pozostaje rana  
Język spalony i skroń przegorąca.

Któż to się zbliża, by złożyć ofiary?  
Dokąd, kapłanie, prowadzą twe kroki

Tą jalowicę, ryczącą bez miary,  
Te uwieńczone, jedwabne jej boki?  
Gdzie leżysz, grodzie, opuszczon w to rano  
Przez swych mieszkańców? U morza czy rzeki,  
Czy na górnostokach pod twierdzy ochroną?  
Przecz twym ulicom opustoszyć dano,  
Ażeby odtąd umilkły na wieki?  
Lud twój nie powie, czemu cię rzucono!

O piękny kształcie! O attycki tworze!  
Urno, kamiennym liściem owinięta!  
Patrz, ci młodzieńcy! Te dziewczyny hoże,  
Ryte w marmurze! W tobie jest zaklęta  
Myśl o wieczności!... O kapłanko chłodna!  
Jeśli wiek stary plemię swe zniweczy,  
Ty pozostaniesz w wiekuistej krasie,  
Ucząc nas jednej li prawdziwej rzeczy:  
„Piękno jest prawdą, prawda pięknem“! Godna  
Wiedza, by w każdym pamiętać ją czasie.

#### HYMN DO PANA. (Z poematu „Endymion“)

O ty, którego pałac dach pokrywa  
Z pniów pokręconych, gdzie wieczyste szumy  
Słychać, gdzie kwiecie niewidne w zadumy  
Posępnych mrokach żyje i opada;  
Ty, co spoglądasz na to, jak dryada  
Czesze swe włosy, leszczynami strojne;  
Ty, co godziny przepędzasz spokojne,  
Zasłuchan w smętny szelест łożów, w pustoszy,  
Gdzie się cykuta w mokrańcach panoszy:  
O pomyśl sobie, jaka przyszła na cię

Żałość po pięknej twej syryngi stracie:  
Na twojej lubej skrocie mlecznobiale,  
Na te jej żalu nawałę.  
Na szal, gdy twe ja opuściło granie —  
Racz nas wysłuchać, Panie!

O ty, w którego błogiej ciszy ducha  
Grono turkawek pośród mirtów grucha,  
Gdy w wieczór krocysz po słonecznej łące  
W granice władztwa twego gorące;  
Ty, dla którego figi owoc młody  
Już przeznaczyły, nim dojrzał, a miody  
Zbierają pszczoły, łanów naszych szlaki  
Ból najpiękniejszy rodzą, sypkie maki,  
Zaś makolągwa, grzeje swe potomki  
Z myślą, by tobie śpiewały, poziomki  
Chłodną jagodą raczą, a motyle  
Swe rozwijają skrzydła w barwnym pyle;  
Ty, co cię wszystkiem darzy lato świeże,  
O, jak najprędzej rzuciwszy swe leże,  
Z wiatrem, co w górah z świerkami jest w sporze,  
Przyjdź, leśny boże!

O ty, któremu faun i satyr służą  
Chętnie, czy idzie o to, by o dużą  
Przyprawić trwogę śpiącego zajęca,  
Czy mknąć, gdzie turnia groźne głazy strąca,  
I ze szpon orlich ratować jagnięta,  
Albo, jak jakaś tajemna przynęta,  
Z obłędnych ścieżek sprowadzać pasterzy,  
Czy z tchem zapartym łowić u wybrzeży  
Najdziwaczniejsze muszle, aby niemi

Rzucać do najad, wargi wesołemi  
Śmiać się w ukryciu, gdy one, zgryzoty  
Pelne, szukają, kto im robi psoty, —  
O ty, którego te śmieszne opryszki  
Bawią, rzucając żołędzie i szyszki:  
Przyjdź, na te echa, i oszczędź nam bólu,  
O ty satyrów królu!

Ty, co się gubisz w nożyc głośnym szczęku,  
Gdy do strzyżonych owiec przy tym dźwięku  
Pchają się kozły; ty, co grasz na rogu  
W czasie, gdy dziki ryją po rozłogu,  
Niwecząc plony łowcom na przekorę;  
Ty, co z rdzy leczysz nasze kłosy chore  
I od szarugi je bronisz; co tony  
Niewymowni napełniasz zagony  
I trzęsawiska; co otwierasz bramy  
Tajnych przybytków, skąd my posiadamy  
Zasoby wiedzy, przez ciebie wiedzeni,  
Ażeby, z naszych dobywszy się cieni,  
Przed się podążać za twojemi stopy —  
O wielki synu Dryopy,  
Ilu z nas ludzi twoim śladem goni  
Z wieńcem na skroni!

Zechej być zawsze niezgłębionym zdrojem  
Dla samotników; wiedź ich ze spokojem,  
Niech w źródle niebios kapią się jedynem,  
Potem ich zostaw bezradnych; rozczynem  
Bądź dla tej twardej i nieczulej ziemi,  
Odroź ją swemi tchy eterycznemi;  
Symbol ogromów, bądź tym firmamentem,

Co się odbija w morzu nieobjętem;  
Żywiołem, który otacza nas w koło,  
Czemś nieznajomem, niczem więcej! Czoło  
Swe zasłaniamy, kiedy w twoja stronę  
Nasze się ręce podnoszą spragnione,  
Kiedy na nasze te pokorne głowy  
Odpowiadają echami niebiosy:  
Przeto błagamy: z swej licejskiej góry  
Przyjmij te skromne wtóry!...

## HYPERION.

### Księga II.

W głębokich mrokach posępnej doliny,  
Zdala od świeżych oddechów poranka,  
Żarów południa i gwiazdy wieczornej,  
Usiadł Saturnus, jako głaz, spokojny  
I tak milczący, jak ono milczenie,  
Co go otacza wokoło; nad głową  
Las mu się zwieszał na lesie, jak ciemna  
Chmura na chmurze. Ani jeden tutaj  
Nie wkradł się powiew, tyle sił mający,  
Ile ma cichy dnia letniego podmuch,  
W dal unoszący zdźbła pierzastej trawy.  
Liść tu umarły zostawał, gdzie upadł,  
Samotny potok włókł się oniemialy  
I coraz bardziej malał i pochmurniał  
Z żalu nad bóstwa swojego upadkiem:  
W trzcinach i łożach wylekła Najada  
Do ust swych zimny przytkala palec.

W piasku nadbrzeżnym ślady stóp szerokich,  
Lecz prowadzące do tego li kresu,

Dokąd on dotarł, by spocząć i zasnąć.  
Dłoń jego stara, zgrzybiła, olbrzymia  
Legła na ziemi wilgotnej, bezwładna,  
Martwa, bez berła, oczy bezkrólewskie  
Ciężko się zwarły, a głowę obwiśłą  
Tulił do ziemi, jakby nadśuchiwał,  
Czy przyjdzie pomoc od starej Macierzy.  
Zdawałoby się, iż żadna go siła

. . . . .

# BARRY CORNWALL

(Bryan Walter Prokter)

## LOS DĘBU.

Puhacz swą wzywa kochana,  
Gdzieś rzekę słuchać ponurą;  
Dąb tutaj na ścięcie skazano,  
Za sobą sto wiosen ma z góra.  
Cios jeden — jęk wydał ze siebie,  
Cios drugi — schyliła się głowa,  
Cios trzeci — na króla pogrzebie  
Posępnie zaszumi dąbrowa.

Od pnia mu ramiona odcięli  
I ociosali mu boki,  
Potem w łańcuchy go wzięli,  
Jak zbira powiedli go w doki.  
Tu go przez środek wzduż przetną  
Na żebra dla statków ściany,  
Smoła obleją go świetną,  
Że morskie już zniesie bałwany.

Tu się mu skrzydła rozwarły:  
Jak duch (jeśli duchy być mogą),  
Będzie się puszył, choć zmarły,  
I groźbą przerażała srogą.  
Ogień błyskawic widomy  
Z działa jego posypią się gromy,  
Skoro się walka rozpali.

A gdy zwycięzca, zasływie  
Z wybrzeży hen! do wybrzeży,  
Gdy żywot swój zamknie w swym czynie,  
Cóż mu się więcej należy?  
Ni króle, rycerze ni wieszce  
Praw innych nie roszczą sobie,  
W pieśni chcą tylko żyć jeszcze,  
Gdy z gliną zmieszają się w grobie.

## MORZE.

Morze, o morze, pełne morze!  
O, nie wie ono, co obroże;  
Jego błękitna, świeża fala  
Swobodnie ziemska ląd okala,  
Igra z chmurami, z niebem szepce,  
Lub śpi, jak dziecko to w kolebce.

Jestem na morzu, na głębinie!  
Gdzie tak pragnąłem, jestem ninie;  
Błękit nademną, blask podemną,  
Ciszę naokół mam wzajemną:  
Nic, że zakłócą mi ją burze,  
W sną, płynąc dalej, się zanurzę.

Lubię ja pędzić, o jak lubię!  
Po wód spienionych wrzącym czubie,  
Gdy księżyc chłonie fala wraża,  
Lub z swym się wichrem przekomarza,  
Gdy o zachodnich wiewach plecie  
I co się dzieje gdzieś na świecie.

Nigdy nie byłem u wybrzeży,  
A morze-m kochał coraz szczerzej;

Jak ptak ku gniazdu matki goni,  
Tak ja do morskiej gnałem toni,  
Matką mi była i jest ona,  
Dla morza dusza ma stworzona!

Głab była biała, krasne rano,  
Gdy mi urodzić się kazano:  
Wieloryb świszcze, śród głębiny  
Złotemi grzbiety lśnią delfiny;  
Gdzież mają dzieci byt tak miły,  
Jak te, co k'morzu się zrodzily!

Pięćdziesiąt wiosen od tej pory  
Przeżyłem, żeglarz, bez przekory,  
W ciszy czy walce, nie stroskany  
I nie pragnący żadnej zmiany.  
Niechże i Śmierć mnie też pognęci  
Na rozkielzanej morza głębi.

## LONDYN.

Gdym jeszcze małym chłopcem był,  
Słyszałem o Londynie,  
Że mury same srebrne ma  
I złoty bruk jedynie,  
Że cny i śmiały jego mąż,  
Że z pięknych niewiast słynie,  
Że kupisz tam, co stworzył świat,  
I sprzedasz tego skrzynie.

I do Londynu-m przybył wnet —  
Było to kiedyś w lecie;

Tom sobie jeździł, tom chodził znów  
I świstał, ile chcecie.  
I uderzyła na mnie krew,  
Gdy furman rzekł: „Patrz, dziecię,  
Oto jest Londyn, grodów król,  
Najtęższy, najmilszy w świecie!“

Tom się rozglądał, tom słuchał wciąż,  
Co i jak bywa w Londynie:  
I nie ze srebra był jego mur  
I z złotych bruków nie słynie,  
A co do niewiast — o, piękne są  
Ale i śmiały — jedynie.  
I rzekł mi furman: „Kupisz tu  
I sprzedasz wszystkiego skrzynie!“

Tak, tu sprzedają każdą rzeczą:  
Córkę sprzedaje matka,  
Żeglarz się sprzedża, jeśli chce  
Pruć fale do ostatka;  
Kapitan urząd sprzedża swój,  
Gdy mu się zdarzy gratka,  
Braciszek-złodziej gotów jest  
Sprzedać złodzieja-bratka.

Krytyk sprzedaje sądy swe,  
Wieszcz pieśni darmo nie da;  
Swem „tak!“ lub „nie!“ wnet wielki człek  
Malego człowieka sprzedża.  
Święcząc bogaczów, świętość słów  
Sprzedaje ksiądz-wereda;  
Niewiasta miłość sprzedża swą,  
Gdy jej dokuczy bieda.

I tak ze wszystkiem. Sztandar sztuk  
Rozwija się przy złocie;  
Za złoto róża kielki swe  
Gotowa zniszczyć w błocie.  
Za złoto kłamca zwraca grot  
Przeciw niewinnej cnocie;  
Żołnierz na sławy niby głos  
Spieszy mordować krocie.

Przeto, Londynie, żegnaj! Ty,  
Gdzie wszystko kupczy sobie,  
Gdzie można sprzedać to, co jest,  
I kupić w każdej dobie,  
Gdzie zbytek z nędzą gnieździ się,  
Gdzie w końcu, po żałobie,  
Czy po weselu, frant i król  
Zamkną swe księgi — w grobie!

## TOMASZ HOOD

### PIEŚŃ O KOSZULI.\*)

Z palcami, zdartemi przez trud,  
Z żrenicą ciężką, czerwoną,  
Nad igłą kobieta w lachmanach  
Głowę schyliła zmęczona.  
Sztych! Sztych! Sztych!  
Od głodu i nędzy zmartwiała,  
Bolesnym, znękanym głosem  
„Pieśń o koszuli“ śpiewała:

„Rób! rób! rób!  
Ranne zapiały już kury!  
Ty rób, rób, rób,  
Aż gwiazdy przecisną się z góry!  
O, lepiej być u Turczyna,  
Nie myśleć o duszy zatracie,  
Niżli tak strasznie mozolić się tutaj,  
W tym chrześciańskim warsztacie.

Rób, rób, rób,  
Aż mózg ci się w głowie zamroczy!  
Rób, rób, rób,

\*) Istnieje przekład Władysława Nawrockiego, któremu zawiadamiam dwa lub trzy drobiazgowe zwroty. Cfr. P. Chmielowski i E. F. Grabowski: „Obraz literatury powszechnej“ T. II.

Aż ciężar ci spadnie na oczy!  
Kliniki, obszewki, wiązadła!  
Tak mnie znużyły niewcześnie  
Obszewki, kliniki, że zasnę  
I dalej szyć będę we śnie.

„Mężczyźni, wy w gronie swych sióstr,  
Co z żon się i matek cieszcie,  
Nie płotno wy macie na grzbiecie,  
A jeno człowiek życie!  
Sztych! Sztych! Sztych!  
W nędzy, o głodzie i w brudzie  
Szyje podwójnie: koszulę  
I całun mieć będą ludzie.

Lecz cóż mi na myśli jest śmierć?  
Kościotrup ohydny ogromnie,  
Nie lękam się tego widma,  
Przecież podobne jest do mnie.  
Podobne jest przecież do mnie,  
Wszak poszczę codziennie!... O Panie!  
Dlaczego ten chleb tak jest drogi,  
A krew i ciało tak tanie?!

Rób, rób, rób!  
Ustawać nigdy nie trzeba!  
A jakaż zapłata? Ten lachman,  
Garść słomy i kromka chleba!  
Dach zdarty, dziurawa podłoga,  
Ten stół i ten stołek złamany!  
Szczęśliwy dzień, gdy choć mój cień  
Na te mi padnie ściany.

Rób, rób, rób  
Od wczesnej do późnej godziny;  
Rób, rób, rób  
Jak więzień za ciężkie przewiny;  
Wiązadła, kliniki, obszewki,  
Obszewki, kliniki, wiązadła,  
Aż serce osłabnie i mózg ten omdleje,  
Jak ręka z zmęczenia opadła.

Rób, rób, rób  
W posępnom świetle grudnia!  
I rób, rób, rób  
W czas upalnego południa,  
Kiedy jaskółki pod strzechą  
Świegocą sobie radośnie,  
Jak gdyby chciały bym z niemi  
I ja śpiewała o wiośnie.

„O, módz doświadczyć choć raz,  
Jak zapach pierwiosnków mami!  
Nad głową zobaczyć niebiosa,  
A trawy mieć pod stopami!  
O, choćby na jedna godzinę  
Odczuć, jak czułam przed laty,  
Kiedy dla jednej przechadzki  
Obiad oddała bogaty.

„Choć jedną chwilę odstąpcie mi,  
Wytchnienia chwilę krótką,  
Nie dla miłości i nie dla nadziei,  
Lecz by się poddać smutkom.

Drobina płaczu ulży mej duszy —  
Lecz łzy pozostaną w ukryciu,  
Bo jedna łza, co upaść ma  
Przeszkadzać będzie w mem szyciu.“

Z palcami, zdartemi przez trud,  
Z źrenicą, ciężką, czerwoną,  
Nad igłą kobieta w łachmanach  
Głowę schyliła zmęczoną —  
Sztych, sztych, sztych!  
Od głodu i nędzy zmartwiała,  
Głosem, co ostał w tym trudzie —  
Słuchajcie bogaci go ludzie —  
„Pieśń o koszuli“ śpiewała.

## R. B R O W N I N G

(Z poematu Pippa przechodzi)

Rok wita już wiosnę  
Dzień wstaje z obłonkami;  
Na wzgórzach lśnią rosły  
Blaskami złotemi!  
Zanucił radosne  
Piosenki skowronek;  
Ślą łaskę niebiosy,  
Jest dobrze na ziemi!...

Żył król za dawnych lat,  
W czas ziemi porankowy,  
Gdy bliższy niebiosom był nasz świat;  
Naokół jego głowy  
Włos się rozwiany snuł;  
A tak miał wielką, taką białą skroń,  
Ni ten ofiarny wół.  
Nie przyszła troska doń,  
Starości nieznane mu trudy,  
Żył ciszą błogiej ułudy,  
Zdala od wszelkich burz.  
Sny słodkie mu nieba dawały,  
Lud mniemał, że król ten wspaniały  
Nie umrze nigdy już.

Śród skał królewski strzelał gród;  
On przed pałacem w słońcu siadał,

Na przechodzący patrzał lud,  
I każdą sprawę pilnie badał,  
Sędziowskie wyroki układał.  
Przyprowadzali mu złodziei,  
Schwyconych w strągach, zbójców z kniei  
O gorzałej, czelnej twarzy,  
Chytrych żebraw i korsarzy,  
Trapiących morski brzeg.  
Czasem do jego stóp przypada  
Jakaś kobieta nędzna, blada,  
I o swej krzywdzie opowiada,  
Którą jej straszny zrządził czek.

Czasem do tej przystani  
Złoczyńce powiodą kapłani,  
Który, skurczony, skulony,  
Ze ściśniętymi ramiony,  
Jak w klębek zwinięty gad,  
Cicho się chykiem wkradł  
Poza świętynny próg:  
Sam go podchwycił bóg,  
Strzegący w ten nocy mroczny czas  
Swoich miedzianych, świętych waz —  
Król przed pałacem w słońcu siadał,  
Sędziowskie wyroki układał.

Kochasz mnie jeszcze? Czekać będę,  
Aż twoja miłość wyrośnie;  
Latem okwieci kwiat twą grzędę,  
Posiany w pierwszej wiośnie.

Smutny był posiew mój, być może  
Wystrzeli z niego kwiecie;

Choć nie pokochasz go — hej, Boże!...  
Będzie ci drogi przecie.

Na mej miłości ujrzyssz grobie  
Ten fiołczek mały!  
Nic sobie z śmierci już nie robię:  
Twe oczy mnie kochały!

Drzew gałęzie wspólnie rosną,  
Kwiat się z trawą łączy wiosną,  
Ja ni siostry, ani brata  
Sama jestem pośród świata  
Wiem od dawnego: głos ptaszcy —  
A i zwierząt — to nic więcej,  
Tylko niby ludzka mowa —  
Choć w nim większy czar się chowa!  
O, jak bliskie jest mi słońce!  
Gwiazdy znam ni palców końce,  
Wiem, ku jakiej się potrzebie  
Zmienia księżyc ten na niebie;  
A gdy żadna jego zmiana  
Już nie będzie mi nieznana,  
Bóg mnie wziął do siebie!

Bóg wszystkiem rządzi; od tej chwili,  
Gdyśmy się na świat narodzili,  
On naszym Panem zawsze, wszędzie!  
Wszyscyśmy Boga rąk narzędzie,  
I zły i dobry w Jego matni,  
I nikt tu pierwszy, nikt ostatni.

Nie mów i rzecz mała! Większe rzeczy  
Czyż ci trud większy zabezpieczy?

Od spraw ogromu z których czleka  
Składa się żywot, niech ucieka  
Duch mój! Rzecz dobrą spełnię jedną,  
A potem złożę głowę biedną.

I innych jeszcze prawd tu znajdziesz wiele,  
Tak! pójdę ku nim, ujrzę ich wesele,  
Ale zazdrości nic we mnie nie zbudzi —  
I jam też wielka, potrzebna dla ludzi  
I miła Bogu! Tyle troski  
Sprawia ten święty dzionek boski!  
Nic to! niech słońce z nieba  
Świeci a też nie potrzeba!...  
Pójdziesz ty ze mną, dniu mój drogi,  
Na sémione rosą traw rozłogi,  
Pójdziesz w galęzi mrok ten wraży,  
W ten piniowy las ponury,  
Tam, gdzie nie wzbiła się do góry  
Żadna jaskółka, gdzie nie waży  
Świerszcz się odezwać — ej! nie waży!

## ALFRED TENNYSON

### PYTA KOCHANEK, GDZIE JEST MIŁA.

(Z cyklu „In memoriam“)

Pyta kochanek, gdzie jest miła,  
Chce ją zobaczyć roztęskniony,  
A tutaj świece ma i dzwony —  
Dom swój na wieki już rzuciła.

I zdjął go smutek. Blask się płoszy  
W halach, dziedzińcach, kona gaśnie;  
Mrok dziś, gdzie wczoraj były jaśnie,  
W świątlicach zbrakło już rozkoszy.

Tak też szukają nadaremnie  
Miejsc naszych wspólnych me źrenice:  
Pola, pokoje i ulice —  
Wszędzie bez ciebie tylko ciemnie!

Ale jak ktoś na pustej niwie  
Spotka zniszczone przez zamiecie,  
Przez deszcz i wichry, piękne kwiecie,  
Które hodował tak troskliwie:

Tak i ja widzę, że na wieki,  
O biedne serce, już mi zwiędnie  
I kwiat mej pieśni, gdyż niezbędnie  
Było mu trzeba twojej opieki.

A jednak oczom twoim był mily,  
Pójdę go sadzić na twoim grobie;  
Może zakwitnie znów przy tobie,  
A umrze, to u twej mogiły.

### PIEŚŃ POGRZEBOWA.

Skończyły się już twe dzieje;  
Złoż na piersi ręce swoje;  
Trzeba raz uciszyć znoje!...  
Niech się pienią!  
Srebrna brzoza cień swój sieje  
Nad mogiły twej zielenią.—  
Niech się pienią!

Czem ci troski i potwarze?  
Tylko na twem zmarłem ciele  
Zimny robak ma wesele.  
Niech się pienią.  
Cień się tłumi z blaskiem w parze  
Nad mogiły twej zielenią.  
Niech się pienią!

Nie będziesz się wil dokoła;  
Niż obelgi, pobrzek pszczeli  
Czy nie bardziej cię weseli?  
Niech się pienią!  
Nie podniesiesz ty już czoła  
Nad mogiły twej zielenią!  
Niech się pienią!

Krokodyle łzy po tobie;  
Za to rosę raczą brzozy

Słodszą, niżli zdrajców ślozy.

Niech się pienią!  
Deszczycy dźwięczy na twoim grobie,  
Nad mogiły twej zielenią.  
Niech się pienią.

Krzewy głogów, pełne woni,  
Rozsypują bladé kwiaty;  
Gna się, wiją, róż szkarłatny —  
Niech się pienią! —  
Kiedy deszczycy z nieba rosi  
Nad mogiły twej zielenią.  
Niech się pienią!

Złotooki jaskier świeży,  
Śród koniczyn polne dzwonki  
To mogiły twej obslonki.  
Niech się pienią!  
Sam król nie ma takiej leży,  
Jak ty dziś pod tą zielenią...  
Niech się pienią!

Tylko słowa, ten dar boży,  
Które tu i tam się roją,  
Zaciemniają pamięć twoją...  
Ale niech się pienią!  
Świerszcz swe ciche pieśni tworzy  
Nad mogiły twej zielenią...  
Niech się pienią!...

### MARJANA.

Gdzie jeno spojrzeć, mech rosiadły  
Grubą skorupą pokrył grzedy;  
Zrdzewiałe gwoździe z ścian wypadły,

Podtrzymujących grusze; wszędzie  
Z zniszczonych murów pustka wieje,  
Straszliwie smutna, bez pociechy;  
Zielskiem zarosły stare strzechy,  
Zaryglowane są wierzeje.  
„Ciężko!“ to jedno ona rzecze;  
„Nie wraca ach! mój milý!  
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człece,  
Czas zejść mi do mogiły!“

Płacze, gdy w wieczór zalśnią rosę,  
Płacze, gdy za dnia wyschną one;  
Nie może patrzeć już w niebiosy,  
Ciemne czy rankiem rozjaśnione.  
Gdy zaszeleszczą nietoperze,  
Gdy mrok się ciężki zbliży do niej,  
Wtedy-li okna swe odsłoni,  
Topić się w ciemnościach chęć ją bierze.  
„Ciężko!“ To jedno tylko rzecze;  
„Nie wraca ach! mój milý!  
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człece,  
Czas zejść mi do mogiły!“

A o północnej słyszy porze,  
Skoro się zbudzi, pojek sowy.  
O świcie kogut gdzieś na dworze  
Pieje, w wadolcach ryczą krowy.  
Niema nadziei żadnej zmiany;  
Że jest stracona, czuje we śnie  
I kiedy rano zacznie wcześnie  
Zimny wiać powiew od polany.  
„Ciężko!“ To jedno tylko rzecze;

„Nie wraca ach! mój milý!  
Męczy mnie“, rzecze, „życie człece,  
Czas zejść mi do mogiły!“

Na rzut kamienia od zagrody  
Spało stawisko; niewesoło  
Jego szczeriale, grząskie wody  
Pokryły zielska naokoło.  
Tuż przy nim srebrnąś miał topole  
O zgnilej korze; na pustynię  
Jak okiem sięgniesz, to jedynie  
Widziałeś drzewo w tym okole.  
„Ciężko!“ To jedno ona rzecze;  
„Nie wraca ach! mój milý!  
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człece,  
Czas zejść mi do mogiły!“

Tylko gdy księżyc jezdzie nisko  
I ostry podmuch gdy zawionie,  
Zobaczy cieni widowisko  
Na białej okien swych przesłonie;  
Tylko gdy zadmie wiatr w komorze  
I księżyc jeszcze niżej spada,  
Cień swój topola rzuca blada  
Na jej oblicze i na łóże.  
„Ciężko!“ To jedno ona rzecze;  
„Nie wraca ach! mój milý!  
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człece!  
Czas zejść mi do mogiły!“

W domu gdy pustka władnie głucha,  
Drzwi na zawiasach skrzyp się słyszy;  
Na szybie lśnistą brzęczy mucha,

Za zgnilą ścianą piszcza myszy  
Lub wyglądają poprzez szpary,  
Widzi postaci dawnych rzędy,  
Słyszy ich kroki tam i tedy  
I jak ją dawne wabią mary.  
„Ciężko!“ to jedno tylko rzecze;  
„Nie wraca ach! mój mily!  
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człece!  
Czas zejść mi do mogiły!“

Zegar, co tyka tak powoli,  
Rozświetlana wróblą rzesza  
I szeleszczący liść topoli —  
To wszystko razem zmyły miesza.  
Ale najprzykrzej patrzyć dla niej  
Na ten zgrubiały odblask słońca  
W izbie, gdy dzień się snać bez końca  
Do swej zachodniej włókł przystani.  
„Ciężko!“ to jedno ona rzecze;  
„Nie wraca ach! mój mily!“  
I płacze. „Męczy życie człece!  
Boże! Czas do mogiły!“

### KRÓLOWA MAJA.

Zbudź mnie wcześnie, matko droga, zbudź mnie wcześnie,  
[bardzo wcześnie.  
Rok szczęśliwy nie ma czasu szczęśliwszego, niżli w wieśnie;  
Jakiż milszy bywa dźwięk, niżli porą tą majową?  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.  
Są tu czarne, czarne oczy, lecz jaśniejsze, czyjeż czyje?  
Są tu Kasie, Małgorzatki, Karolinki i Maryje,

Lecz że Bańska najpiękniejsza, każdy swą poręczy głową,  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Tak głęboko spałam w nocy, tak-ci spałam bez ustanku,  
Gdyby nie twój głos, o matko, nie zbudził mnie o poranku,  
Muszę zebrać kwiatów pęki i girlandę mieć gotową,  
Bo chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Chodząc sobie po dolinie, kogom też spotkała w drodze?  
Jaś na moście pod laskowym stał orzechem, smętny srodze.  
Pewnie myślał, żem go wczoraj odpaliła ostrą mową.  
Lecz chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Mniemał pewnie, żem jest duchem, byłam przecież cała w bieli,  
Migiem przeszłam obok niego, że i piorun tak nie strzeli;  
Mówią, że mam serce twarde, cóż mi znaczy takie słowo?  
Ja chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Że z miłości, mówią, kona, lecz to nigdy być nie może!  
Mówią, że mu pięknie serce, cóż mi z tego, mocny Boże!  
W pierwszy letni przecież dzionek znajdę sobie miłość nową,  
Dziś chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Mała Zośka będzie ze mną jutro rano na zabawie,  
I ty, matko, też zobaczysz, jak ja pięknie się przedstawię;  
Zlećą zewsząd juhasowie; słonko zaśni nad dąbrową,  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Wokół pretów wonny powój wije sobie wian bogaty,  
Na krawędziach łąk po rowach blyszczą mleczów dzikie  
[kwiaty;

Niby ogniem, tak kaczeńce złocą łąkę wądolcową,  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Nocny, matko, wiatr przychodzi i przechodzi nad murawą;  
W takim czasie każda gwiazda jeszcze bardziej jest jaskrawą;  
Przez dzień cały kropli deszczu, będącym mieć pogodę zdrową,  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Cała hala, matko, świeża i zielona, wabi oczy;  
Pełno jaskrów i kaczeńców, zlocą się na każdej zboczy;  
Ruczaj szemrza pośród kwiatów swoją falą kryształową,  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Przeto zbudź mnie wcześnie, matko, zbudź mnie wcześnie,  
[bardzo wcześnie,  
Rok szczęśliwy nie ma czasu szczęśliwszego, niżli w wieśnie;  
Kiedyż milszy bywa dzionek, niżli porą tą majową?  
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

### PANI KLARA WERE DE WERE.

Mościa Klaro Were de Were,  
Nic tu nie wskórasz, pani, ze mną,  
Chciałabyś proste złamać serce  
I krotochwilę mieć przyjemną.  
Śmiejesz się do mnie, lecz, przytomnie  
Z twoim podstępem ja w niezgodzie,  
Idę swą drogą: czem mi dama,  
Która stu hrabiów ma w swym rodzie?!

Mościa Klaro Were de Were,  
Nazwiskiem swem się chełpisz srodze;  
Znam twoją pychę, lecz zbyt dumny-m,  
Bym miał się pytać, skąd pochodzę.  
Któż swego serca moc uśmierca,  
Godną szczerszego tu gorąca?

Od setki hrabiów więcej warta  
Zwykła dziewczyna tak kwitnąca.

Mościa Klaro Were de Were,  
Potulniejszego dziś kamrata  
Poszukaj sobie; bo co do mnie,  
Nie ugnę się przed Panią świata;  
Chcesz znaleźć drogę, jak ja mogę  
Kochać? Odpowiedź ma — pogarda.  
Odemnie postać lwa nad bramą  
Twojego domu mniej jest twarda.

Mościa Klaro Were de Were,  
Rzecz dziwna dziś mi idzie w głowę:  
Odkąd zmarł tamten, raz li trzeci  
Zakwitło drzewo to lipowe.  
W twej odpowiedzi spokój siedzi —  
O czarownica tyś niemała;  
Ale ten znak na jego szyi,  
Pewno go widzieć byś nie chciała.

Mościa Klaro Were de Were,  
Gdy go ujrzała jego matka,  
Pewną ci prawdę rzekła wówczas,  
Przejęta gniewem do ostatka.  
Słowa sierdziste o, zaiste!  
Dla twoich uszu nazbyt szczerze,  
W niej taki spokój nie istnieje  
Jako w tych z rodu Were de Were.

Mościa Klaro Were de Were,  
Upiór dziś straszy w twoim domu,  
Krew na tych wrótniach; zółć do serca

Przelałaś snać nie byle komu!  
Gdzież twe wyrzuty? Niezepsuty,  
Dał zapewnieniom twoim wiarę,  
Ty go obrzucisz zimnym wzrokiem,  
Zabiło go szlachectwo stare!

Mościa Klaro Were de Were,  
Patrz! Z niebieskiego tam sklepienia  
Stary ogrodnik razem z żoną  
Z dawnego śmieje się imienia.  
Co chce, niech będzie: zda się, wszędzie  
Tego li panem nazwać z panów,  
Kto bywa dobry; niczem herby,  
Niczem jest dumna krew Normanów..

Mościa Klaro Were de Were,  
Masz dość już wież swych i swej hali;  
Twe dumne oko dziś znudzone,  
Już dawnym żarem się nie pali.  
Bogactwo, zdrowie — niech kto powie,  
Że w tobie nudę tę zniweczy;  
Co robić z czasem ty już nie wiesz,  
Przeto się w puste bawisz rzeczy,

Klaro, Klaro Were de Were,  
Gdy ciężar czasu tak cię gniecie,  
Nie masz żebrawów u swych wrótnej,  
Nie masz nędzarzy na tym świecie?  
Chłopey-sierotki ucz czytania,  
Jak szyc należy, ucz dziewczęta;  
Miej serce ludzkie, a o wiejskim  
Niech już młodzieńcu nie pamięta.

## S W I N E B U R N E

### CHÓRY Z DRAMATU ATALANTA Z KALYDONU.

Gdy wiosna sforze swej osaczyć każe  
Zimę, księżyców matka wnet poruszy  
Deszcz i szum liści na wietrznym obszarze  
Fal na murawach i w lesistej głuszy.  
Kochania żądny słówik już się wtedy  
Zbyt nie lituje Hylowej biedy  
Trackie okręty, cudzoziemskie twarze  
Już nie sprawiają zbytnich nam katuszy.

O pani światła, zjaw się z swym kołczanem  
I swoim lukiem w ogniach swej urody  
Pojaw się z grzmotem wichrów, z rozpętanym  
Fal wywierzyskiem, z głośnym rykiem wody.  
O najlotniejsza, nałoż-że sandały  
Na hyżość nóg swych, na ich blasz wspaniały,  
Gdyż wokół nocy stóp i dnia, nad łanem,  
Zachód przygasza, wschód się wznieca młody.

Gdzież nam ją znaleźć, jakie pieśni rzucić,  
Jak jej kolana zamknąć w swe ramiona?  
Oby się mogło serce ku niej rzucić,  
Ni ogień skrawy, ni fala wzburzona!  
Wichry i gwiazdy, posiane rozrzutnie,  
To suknia dla niej, jej śpiewy i lutnie!

Nic hymnu wichrów nie zdola zakłocić,  
Nic zgasić gwiazd tych, których panią ona.

Zgasły już zimy niszczycielskie siły;  
Śniegów i grzechów pora już nie włada —  
Dni, co kochanka z kochanką dzielili;  
Noc już dnia kosztem nie wzmagą się rada;  
Chwil tych wspomnienie — to ból zapomniany;  
Mrozy pobite, wokół pachną łany,  
Zieloność lasów, kwiatów orszak milny,  
Że przyszła wiosna, głośno zapowiada.

Kwiatem rokicin karmią się moce;  
Rzek hyzy rozped powstrzymują trawy;  
Z liści na kwiaty, z kwiatów na owoce  
Nowego lata skacze żar złotawy —  
I liść i owoc są, jak żar lub złoto;  
Dźwięk owsów liry przytłumia; tam oto  
Satyr orzechy kopytem druzgoce —  
W gaj kasztanowy wyszedł na obławy.

A Pan w południe, Bachus w nocnej porze  
Tańcem i śmiechem napełniają drogi —:  
Gonią Menady, Bassarydy hoże,  
Od szybkich koźłat szybsze mając nogi;  
Wokrąg rozbrzmiewa ich zabawa pusta;  
Liście się śmieją, jak rozśmiane usta,  
A przez ich gęstwie oko widzieć może,  
Ucieczkę dziewcząt, ścigające bogi.

Bachantkom, z włosów, rozwianych rzęsiście,  
Bluszczy się ku oczom zesuwa i skroniom;  
Opadające winogradu liście

Promienną białość ich piersi odsłonią:  
Winograd ciężki na ziemię się stoczy,  
Lecz bluszczy owija członków kształt uroczy  
Naokół nóg się lepią jego kiście —  
Nóg, co przed łanią i wilkiem się bronią.

\* \* \*

Nim płynąć poczęły dni fale,  
Czas przyszedł, by stworzyć człowieka,  
W podarku łzy przyniósł i żale;  
Z przybyciem i troska nie zwleka  
I rokossz, co boleść przyniosła,  
I lato z kwiatami, co więdną,  
I pamięć, w niebieskich wyrosła,  
Szał z piekiel z tą twarzą obłędną;  
I siła bez rąk przyszła w gości  
I miłość, co żyje li tchnieniem,  
I noc, co jest cieniem światłości,  
I życie, co śmierci jest cieniem.

I wzięli bogowie do ręki  
I ogień i lże tą ciekającą,  
Z pod stopy tak wzięli ten miękki,  
Ten lotny piasek i drżąca  
Pianę wód morskich, proch ziemi,  
Spowitej w katusze i znoje,  
Byt ciał, nim się stały żywemi  
Gdzie śmierci i życia podwoje.  
Tak z placzu gorzkiego i śmiechu,  
Z miłości i wstrętu, z potęgi  
Życia niezmiennej, z oddechu  
Śmierci, dzierżącej okręgi,  
Na noc, na dzień, na poranek

Bogowie człowieka zlepili,  
By cierpiał ten troski kochanek,  
By moc jego zgasła tej chwili.

I wichrów walczących zatargi  
Zgarnąwszy z południa, z północy,  
Powiewy ich tchnęli mu w wargi,  
W żywota skąpali go mocy.  
Źrenicę mu dali i mowę,  
By duszy tworzyły zasłonę,  
I chwili dla grzechu gotowe,  
Dla pracy i myśli gotowe,  
I miłość i rozkosz mu dali  
I światłość rzucili na drogi,  
Dni długość, co słońcem się pali,  
I noc, a w tej nocy sen błogi.  
Wargami gdy człowiek poruszy,  
Ognistym przemawia potokiem;  
Osłepią ma żądę w swej duszy  
I śmierć przewiduje swem okiem.  
Tka, a ma z szydu okrycie  
Nie zbiera, acz chodzi za pluнием  
Czuwaniem li jest jego życie  
Między snem jednym a drugim.

\* \* \*

O miłości, jak kształt twój uroczy i jaki pełen dobroci!  
Twoje skrzydło w powietrznej roztoczy skrzydłem gołębia  
[się złoci;  
Stopa twoja tak szybka i żywa, jak wicher, co kraje morze;  
Ziemi-ć płaszczem i suknią, co skrywa te twoje członki boże.  
Zwinna jesteś i ślepa: pożogi sieją płomienne twe miecze;  
Rozśmiech żadzy wyprzedza twe drogi za tobą lza się jej wlerze.

Dwie postaci przy swoim masz boku, mężczyznę i oblubienicę;  
Snać ją rozkosz przerża: w jej oku ognie się trwogi świecą.  
Jak woń, która rozsadza pękowie, oblubienicze jej tchnienie:  
Skonem jej oblubieniec się zowie, jej imię Przeznaczenie.

Kwiat trujący narodził się z piany,  
Z piany morza i krwi ten czerwony.  
Kwiat się rodził i gorzkie dał płody;  
Śmiech i ślozy to jego nasiona,  
Liście jego to gniew jest wezbrany;  
Gorycz jadu wśród jego korony;  
Bez korzeni wstał z morskiej on wody,  
Nie zaszczepion, z lat wystrzelił łona.

Nie zstrzepiła się tu przedza świata,  
Która przedzie dzień aż w pomrok siny;  
Nie okryły się szronem godziny,  
Ani czasu podarła się szata,  
Gdy zabójczy cud powstał z głębiny,  
Kiedy Troska szła ujarzmiać lata.  
Morskie do niej tuliły się fale  
Ucieszone, że oto z ich łóża  
Kwieciecia ciała wyrasta tej mocy,  
Która żarem wypełni oddale  
Która zimne rozgrzeje przestworza  
Aż po śnieżne granice Północy.

Ptak w błękitach i człowiek na ziemi,  
Który dźwięcznie dzielące się słowa  
Pochwytuje uszami chciwemi —  
Wszystko zwierzę, co pełza i biega,  
Co po stawach i rzekach się chowa,

Co po ląkach i lęgach się pleni,  
Radość w sobie szaloną rozżega.

Rzekli bowiem w rozkoszy powodzi,  
Że w gołej przybywa tu bieli,  
Że byt świata w oddechu jej leży,  
Że z nią razem byt świata się rodzi:  
Żeś miłości jest matką, wiedzieli,  
Nie wiedzieli zaś śmierci macierzy.



#### BARRY CORNWALL

Pseudonim, właściwie nazwisko Bryan Walter Procter. W epilach (opowiadaniach epickich) naśladowca Byrona, autor dramatycznych utworów, jak „Sceny dramatyczne“ („Dramatic Scenes“), oraz głośnej onego czasu tragedji „Mirandola“ (treść: losy humanisty włoskiego Giovanni Francesco Pico della Mirandola), napisał, jeśli idzie o interesujące nas przedewszystkiem liryki, i wydał w r. 1831 tom „Pieśni angielskich i innych poematów drobniejszych“ („English Songs and other Small Poems“). Porównywano je niekiedy z lirykami Tomasza Moora.

Daję czytelnikowi — obok „Losu dębu“ — istotnie piękny wiersz o „Morzu“ i interesujące zwrotki o Londynie, który handlarstwem swem niemile na poecie wywarł wrażenie.

Urodzony w r. 1787, umarł r. 1874.

#### ALFRED TENNYSON

Urodzony 1809, najpoczytniejszy z poetów angielskich w czasach po-byronowskich, zjednał sobie sławę europejską i tytuł „poety-laureata“ takimi utworami, jak „Locksley Hall“, „Godiva“, „Oenone“, „Lady Clara Vere de Vere“, „Mariana“, „In memoriam“ (cykl wierszy lirycznych, poświęconych zmarłemu przyjacielowi), „Idylle królewskie“, „Enoch Arden“

itd. Z utworów epickich znany jest u nas przedewszystkiem „Enoch Arden” (w przekładzie Koźmiana).

Próbował się też w dramacie („Queen Mary”, „Becket”, „The Cup”, „The Promise of May”).

Umarł 1892. Pochowano go w oddziale poetów w katedrze Westminsterskiej w Londynie.



„OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ” jest wierną kopią rękopisu Kasprowicza, nawet tam niepoprawioną, gdzieby należało ją poprawić. W jednym i tym samym utworze Kasprowicz rozmawiając dane słowa pisze: Hood i Hud, Ossjan i Ossian, Oitona i Ojtona itd. Słowa zupełnie nieczytelne są wykropkowane i ujęte w nawias graniasty, niepewnie odczytane są umieszczone w takim samym nawiasie. Kolejność autorów i utworów według rękopisu. Życiorysy poetów, poprzedzające w rękopisie tychże utwory, zostały umieszczone na końcu każdego tomiku, by nie psuć harmonii u układzie typograficznym całego wydania t.j. DZIEL i PRZEKŁADÓW. JWP. Kazimierzowi Giebułtowskiemu za łaskawą pomoc w odczytywaniu rękopisu „Obrazu Poezji Angielskiej” składam serdeczne dzięki.

Niechaj mi wolno będzie na tem miejscu podziękować za niezwykłą życzliwość i poparcie JWP. Annie z Kasprowiczów Jarockiej i Prof. Władysławowi Jarockiemu w ciągu dwuletniej pracy nad Wydaniem Zbiorowem Dzieł i Przekładów Jana Kasprowicza, jakież Wielce Czciogodnemu Panu N. Telzowi, właścicielowi Drukarni Narodowej w Krakowie i też kierownikowi Drogiemu Panu Markowi Schlefrigowi.

Kraków, 30 maja 1931.

WYDAWCA

Obraz poezji angielskiej T. V. 7

97

## SPIS RZECZY:

	Str.
Shelley . . . . .	5
John Keats . . . . .	56
Barry Cornwall . . . . .	66
Tomasz Hood. . . . .	71
R. Browning . . . . .	75
Alfred Tennyson. . . . .	79
Swineburne . . . . .	89

---

2142-550-002

200 200 200 200 200 200

10~~u~~70

7xx 840-

821

Obraz.  
pokazi

T. 4-5

14340